

Jacek Leociak

Relacje z getta warszawskiego : między osobowym a bezosobowym sposobem opowiadania

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce
literatury polskiej 87/3, 83-111

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

JACEK LEOCIAK

RELACJE Z GETTA WARSZAWSKIEGO:
MIĘDZY OSOBOWYM A BEZOSOBOWYM SPOSOBEM
OPOWIADANIA*

Wszystkie przywoływane tu teksty mówią o getcie, a raczej o pewnym typie doświadczenia, które tym właśnie mianem da się określić. Stajemy wobec masy najróżnorodniejszych świadectw, w których odcisnięty jest zapis owego doświadczenia. Chciałbym się bliżej zastanowić nad występującymi w tych tekstach formami opowiadania. Chodziłoby o wychwycenie pewnych tendencji w kształtowaniu przekazu. O wskazanie biegunów, wokół których może skupiać się i organizować dyskurs o getcie. Zajmę się przede wszystkim postawami narracyjnymi: kto opowiada i jak opowiada, jaki repertuar środków wyrazu skłonny jest stosować i jaki rodzaj strategii komunikacyjnej wybiera.

W obszar mego zainteresowania wchodzi dzienniki, pamiętniki, zapisy kronikarskie, listy — powstałe tam i wtedy¹. Tam — tzn. w getcie warszawskim lub poza jego murami, czyli w ukryciu po stronie aryjskiej. Wtedy — tzn. w czasie wojny i okupacji. Główną dyrektywą metodologiczną jest analiza dyskursu, a nie rekonstrukcja faktów. Właściwym przedmiotem mojej refleksji jest bowiem nie tyle to, co się wówczas wydarzyło, ile tekstowe świadectwa tamtych czasów, sposoby mówienia o tamtej rzeczywistości.

1

Podobnie jak powieściowych narratorów — również i opowiadaczy getta można z grubsza podzielić na dwie kategorie. A więc tych, którzy ujawniają w tekście swoje mówiące „ja”, prowadząc narrację w pierwszej osobie, oraz tych, którzy chowają się za opowiadany światem, wybierając formę narracji trzecioosobowej². Dyskurs spersonalizowany wydaje się najbardziej charak-

* Fragment większego opracowania.

¹ Wykaz cytowanych źródeł znajduje się na końcu artykułu — do nich odsyłać będą lokalizacje umieszczone po cytatach (liczba w nawiasie wskazuje stronicę; w wypadku „Biuletynu Żydowskiego Instytutu Historycznego” liczba przed przecinkiem oznacza numer tego czasopisma).

² W teorii form narracyjnych przeprowadza się podstawowe rozróżnienie między dwoma rodzajami narratorów; w klasycznym ujęciu W. C. Bootha będą to: narrator upostaciowany (*dramatized*) i narrator nieupostaciowany (*undramatized*). Posługuję się spolszczeniem tych terminów zastosowanym przez H. Markiewicza (*Teorie powieści za granicą. Od początków do schyłku XX wieku*. Warszawa 1995, s. 441–442).

terystyczny dla literatury dokumentu osobistego³. Jest on przecież wyrazem postawy autobiograficznej, ujawnieniem osoby autora i jego własnego widzenia świata. Mówienie w pierwszej osobie jest naturalnym sposobem prowadzenia dziennika czy pamiętnika. Jednak w obszarze badanych tekstów znaleźć można znaczące i wcale liczne przykłady z gruntu odmiennego kształtowania wypowiedzi. Dyskurs zdepersonalizowany daje o sobie znać nie tylko w klasycznych dla dokumentu osobistego gatunkach, jak dziennik czy pamiętnik, lecz także w formach pogranicznych, jak relacja czy sprawozdanie. Niekiedy zresztą tradycyjnie spersonalizowane gatunki okazują się bardziej bezosobowe niż teksty mające w pierwotnym zamierzeniu charakter niemal użytkowy.

Różne są strategie mówienia w pierwszej osobie, jak również sposoby i stopień odsłaniania własnej prywatności. W dokumentach z getta – poddanych szczególnemu ciśnieniu czasu, miejsca, sytuacji – kwestia odsłonięcia się, ekspresji własnej osobowości, ujawnienia swojego „ja” nabiera dodatkowego dramatyzmu. Piszący zмага się nie tylko z taką czy inną konwencją wypowiedzi osobistej, lecz także z ostatecznym wyzwaniem egzystencjalnym. Rosnąca świadomość zagłady – całkowitej i nieodwracalnej – stawia w nowym świetle rolę diarysty czy memuarysty jako człowieka mówiącego o sobie, utrwalającego swoje przeżycia, obserwacje, sądy.

Wyobrażenia o tym, co i w jaki sposób można o sobie czy też od siebie napisać, zostają poddane rewizji. Przeformułowaniu ulegają dotychczasowe reguły rządzące takim pisaniem oraz motywacje uzasadniające sporządzanie zapisu. W nowych okolicznościach bowiem samo pojęcie prywatności czy też intymności musi ulec radykalnej zmianie, dlatego też zmienia się zakres, sposób i cel komunikowania tych treści.

Człowiek staje się anonimowym składnikiem masy, poddanej wspólnemu losowi. Nikt już nie jest u siebie, wszyscy są wygnani – z miast i miasteczek za mury, z mieszkań na ulice, do kryjówek i bunkrów, na plac przeładunkowy. Jednostka zmuszona jest żyć, cierpieć i umierać w tłoku i ciasnocie albo wegetować w ukryciu, z każdą chwilą spodziewając się śmierci. Nie ma tu miejsca na luksus prywatności, zniszczona zostaje sfera intymna. To doświadczenie wywołuje w świadomości piszącego odruch samoobrony – heroiczny akt pisania. Podjęcie tego aktu jest zamanifestowaniem własnej odrębności, własnego indywidualnego istnienia. Piszę, więc naprawdę jestem, na przekór wyrokowi zagłady. Mój jednostkowy los nabiera cech uniwersalnych, bo jest odbiciem losu zbiorowości. Nie jestem już tylko osobą prywatną. Mówię nie tylko od siebie, nie tylko o sobie. Zatem i w tym sensie nie ma miejsca na luksus prywatności.

Dlatego też narracyjne „ja” autorów gettowych jest czymś więcej niż tylko realizacją pewnego rodzaju dyskursu. Ów dyskurs spersonalizowany uwikłany jest w skomplikowaną sieć zobowiązań wobec rzeczywistości, wobec historii, wobec przyszłego czytelnika, wobec samego podmiotu mówiącego. O tym, jak realizować rolę pierwszoosobowego opowiadacza, decyduje nie tylko pisarska konwencja, lecz także los, jaki przypadł w udziale piszącemu.

³ Socjologiczny termin „dokument osobisty” został przeniesiony do literaturoznawstwa przez R. Zimandę („*W nocy od 12 do 5 rano nie spałem*”. „*Dziennik*” Adama Czerniakowa – próba lektury. Paryż 1979).

Jakub – Hirszfild – Lewin – Perechodnik

Jednym z najbardziej wyrazistych przykładów pisania, które jako nakaz losu spada na zupełnie do tego nie przygotowanego człowieka, jest pamiętnik Jakuba. Tekst dotrwał do naszych czasów bez tytułu i bez nazwiska autora. Można zresztą wątpić, czy autor nadał mu w ogóle jakiś tytuł. Gdyby nie wojna, najprawdopodobniej nigdy nie chwyciłby za pióro. Był prostym człowiekiem, dalekim zapewne od nawyku przekazywania osobistych refleksji w zdyscyplinowanej formie wypowiedzi pisanej. Miał w chwili wybuchu wojny 30 lat. Mieszkał z rodzicami i rodzeństwem na Pradze. „Jestem z zawodu buchalterem” (59) – przedstawia się, gdzie indziej zaś pisze: „przed wojną pracowałem w fabrykach i moje stanowisko ekspedytor lub magazynier”; sam siebie nazywa „zwykłym człowiekiem pracy” (161). Ale ten zwykły człowiek, ukrywając się od maja 1943 do sierpnia 1944 w mieszkaniu na Pradze, sporządza ogromny, liczący 537 stronic maszynopisu pamiętnik.

Na tle innych dokumentów osobistych pamiętnik Jakuba wyróżnia się spontanicznością ekspresji, ujawnianą bez skrępowania emocjonalnością, autentyzmem zapisu przeżyć i obserwacji. Kształt tego zapisu odzwierciedla niezwykle silną indywidualność autora. Jakub jest niekwestionowanym gospodarzem tekstu, a gospodaruje nim po swojemu – można by rzec – naiwnie i bezrefleksyjnie. Pracuje bez świadomości warsztatu, reguł i konwencji, ma nieraz problemy z poprawnym formułowaniem zdań. Pisze bardzo prostym, czasami wręcz kalekim językiem, pełnym kolokwializmów, dialektyzmów czy wyrażenń środowiskowych. Lekturze tego tekstu towarzyszy od początku nieodparte wrażenie szczególnej bliskości autora, jego namacalnej wręcz obecności.

To, co dzieje się z nim i wokół niego, zawsze stanowi osnowę narracji. Zawsze on jest w centrum, nawet wtedy gdy rozpisuje się o sytuacji na frontach. Wiadomości czerpie z codziennej lektury gazet niemieckich i wypełnia stronicę pamiętnika obszernymi polemikami z hitlerowską propagandą. Jego polityczne i militarne analizy, przepuszczone przez filtr niepowtarzalnej osobowości, specyficznego sposobu myślenia, więcej mówią o nim samym niż o rzeczywistym teatrze działań wojennych. Swoją drogą, ciekawe byłoby porównanie dwóch stylów lektury prasy okupacyjnej: plebejskiego i emocjonalnego, jaki uprawia Jakub, oraz inteligenckiego i erudycyjnego, reprezentowanego przez Ludwika Landaua w *Kronice lat wojny i okupacji*.

Jakub jest autentyczny. Nie ma zahamowań w pisaniu o sobie. Jest autentyczny, kiedy narzeka gorzko na brata, który go oszukuje i wykorzystuje; kiedy z dumą wspomina o swoich sukcesach w handlu z niemieckimi żołnierzami w koszarach na Pradze; kiedy skarży się na swoją krzywdę, spowiada się ze swojej udręki i z przerażeniem obserwuje, jak maleją szanse ocalenia. Chwilami jego pamiętnik przeradza się w wielki monolog wewnętrzny – strumień świadomości człowieka cierpiącego, uwięzionego, oszalałego z tęsknoty do wolności.

Autor nie ma problemów z „formą”, z nieadekwatnością słów wobec treści. Wydaje się, iż jest jednym z nielicznych, którzy nie posługują się toposem „żadne słowa nie zdołają tego wyrazić”. Spontanicznie odnajduje nowe możliwości ekspresji, poszerza formułę swojej wypowiedzi. Taką rolę spełniają

wplecione w pamiętnikarską narrację własne, powstałe z potrzeby chwili wiersze. Komentują one przeżycia osobiste (np. śmierć matki w getcie, strach przed szmalcownikami) i ogólną sytuację wojenną. Zmiana sposobu mówienia z mowy niewiązanej na wiążaną jest nie tyle sygnałem wzniosłości czy patosu, ile radykalniejszym niż dotychczas odsłonięciem siebie. Jakub sięga po wiersz jako po jedyną znaną sobie formułę najgłębiej osobistego, intymnego mówienia. Dlatego te naiwne, kulawo rymowane wiersze, mimo spektakularnej wręcz sztuczności, są szczerą ekspresją autorskiego „ja”. Co więcej – są odbiciem procesu rodzenia się w człowieku prywatnym poczucia obowiązku publicznego. Pisanie o sobie staje się wewnętrznym imperatywem, rozpoznaną przez autora powinnością przekazania innym własnych przeżyć. Realizacji takiej potrzeby najlepiej zdaje się służyć forma wiersza – utrwalony w tradycji sposób komunikowania doznań najbardziej osobistych. Tak właśnie postępuje Jakub – człowiek zwyczajny, jeden z wielu. Pisząc przeplatany wierszami pamiętnik upublicznia swoją prywatność i czyni ją przesłaniem skierowanym ku przyszłości.

Na przeciwległym biegunie dyskursu spersonalizowanego wypadła umieścić *Historię jednego życia* Ludwika Hirszfelda. W czerwcu 1943, kiedy ukrywający się w Starej Miłosnej pod Warszawą Hirszfeld zaczął pisać, był już osobą publiczną, naukowcem o międzynarodowej renomie. Żona podsunęła mu myśl „spisania tego, cośmy przeżyli i co przeżywała Polska”, ale on zdecydował się „rozszerzyć ramy tych wspomnień i spisać wspomnienia całego życia” (405–406). Tak szeroko zakrojonej autobiografii nie spotykamy wśród dokumentów osobistych tamtego czasu (chyba tylko w pamiętniku Janusza Korczaka dostrzec można ślady tak pomyślanej opowieści o własnym życiu, ale są to raczej zamierzenia niż realizacja). Jeśli informacje o losach autora do wybuchu wojny w ogóle się pojawiają, mają postać kilkudzaniowych wtrąceń bądź – jak w przypadku pamiętnika Karola Rotgebera – ograniczone są do parustronicowego streszczenia. Hirszfeld natomiast swobodnie kreśli swój autoportret. Zaczyna „od początku” – od czasów studenckich, rewolucji 1905 roku, pracy w Heidelbergu, Zurychu, na Bałkanach, przedstawia panoramę pierwszej wojny światowej i swojej działalności naukowej w Drugiej Rzeczypospolitej. Spisuje dzieje własnej formacji intelektualnej na tle Europy pierwszych dziesięcioleci XX wieku. W *Przedśłowiu* do autobiografii deklaruje:

Chcę przedstawić historię cierpienia człowieka i losy uczonego, który sądził, że nauka może uczynić człowieka lepszym. Pragnę opowiedzieć, jak błędził i jak w końcu los dał mu wgląd w cierpienie największe – śmierć całych narodów. [...]

Ale nie jestem ani historykiem, ani literatem i nie potrafię opisać epoki punkt za punktem, data za datą. Dlatego spróbuję, mimo całej niechęci, nawiązać historię epoki do historii mojego życia. [6]

Do pisania przystąpił z ogromnym zapałem i żarliwością, ale też metodycznie, ze znajomością pisarskiego warsztatu, opracowywania i redakcji tekstu. Napisane fragmenty odczytuje przyjaciółom i rodzinie, mając w nich pierwszych krytyków i recenzentów. Tekst powstaje więc w nieustannej konfrontacji z odbiorcą. Autor wyprzedza jego oczekiwania, przewiduje reakcje, zdaje sobie sprawę ze swoich zobowiązań. Pisanie bowiem od początku traktuje jako moralną powinność i otwarcie deklaruje taki charakter swoich motywacji.

Słowem, wszystkie działania autora są przemyślane, intencje uświadomione, a ich realizacja profesjonalna, mimo konwencjonalnych zastrzeżeń („nie jestem ani historykiem, ani literatem”).

Czasami wstawałem o czwartej, piątej rano, pisałem kilka stron, kładłem się znów, później dyktowałem żonie, która pisała na maszynie, po obiedzie konstruowałem treść następnych rozdziałów i tak pisałem w jakimś zapamiętaniu. Cała książka została napisana w przeciągu dwóch miesięcy [...]. Myśl, że moje cierpienie miało sens i że mam obowiązek i misję opowiedzieć o cierpieniach narodów, które żyły w „przestrzeni życiowej” uznanej przez Niemców za ich własność, podtrzymywała mnie na duchu. [...] pisanie tej książki umożliwiło mi przetrwanie. [...] pisanie tej książki było walką z wrogiem [...]. [406]

Autobiografię Hirszfelda z pewnością napisałby i bez doświadczeń wojennych. Prowadziła ku temu logika jego twórczego życia, świadomość wysiłków podejmowanych dla dobra ogółu i typ umysłowości: analityczny, krytyczny, refleksyjny. Prędzej czy później człowiek o takiej pozycji jak Hirszfeld daje publiczny wyraz swoim przemyśleniom, ocenia własną drogę życiową, bilansuje dokonania, formułuje sądy o świecie i ludziach. Przestaje być już tylko osobą prywatną, co dodatkowo uprawomocnia jego osobistą wypowiedź, nadaje jej ważność i znaczenie. Autor *Historii jednego życia*, nie przestając mówić o sobie i od siebie, eksponuje jednocześnie swe dokonania, stanowisko i wynikające stąd pewne obowiązki publiczne jako szczególnie tytuł do zabrania głosu. Wie, iż mówiąc w pierwszej osobie, wypowiada się także w imieniu innych.

W obliczu bezprecedensowych doświadczeń wojennych zarówno poczucie misji publicznej, jak i odczuwanie sfery prywatności nabierają nowego wymiaru. W przypadku Hirszfelda można nawet mówić o dramatycznej kolizji między głęboko odczuwaną powinnością świadczenia o zagładzie zbiorowości a opowieścią o losie własnym i najbliższej rodziny. Dramat taki przeżywali wówczas wszyscy Polacy pochodzenia żydowskiego, zupełnie zasymilowani, a do tego ochrzczeni. Nazistowskie Ustawy Norymberskie wpięły Hirszfelda w obręb społeczności, która była mu obca i nieznaną. Najpierw usiłuje wyjechać z okupowanej Polski za granicę, dorabiając do tego ideową motywację („jeśli będę mógł wyjechać za granicę, wyjadę. Bo tam będę mógł walczyć na szerszej płaszczyźnie i dla mojego narodu”, 252). Potem stara się za pośrednictwem hrabiego Ronikiera i kierowanej przez niego Rady Głównej Opiekuńczej o zalegalizowanie swego pobytu po stronie aryjskiej, byle tylko nie iść do getta. To działanie okazuje się fatalne w skutkach. Niemcy przekazany im przez Ronikiera spis neofitów pochodzenia żydowskiego wykorzystują jako listę proskrypcyjną i wiosną 1941 wtrącają figurujące tam osoby za mury⁴. Hirszfeld został więc odstawiony do getta w kilka miesięcy po jego zamknięciu. Początkowo nic – poza współczuciem – nie wiąże go ze społecznością, z którą przyszło mu dzielić los.

Nie znałem Żydów i nie wiedziałem, jak się trafia do ich serc. [251]

Obcy temu narodowi. Odrzucony przez tłum jako chrześcijanin. Miałem tylko wielkie, bezgraniczne uczucie współczucia. [252]

Przyjaciele nasi już po kilku dniach przysłali nam „lewe” papiery i nalegali, byśmy uciekali z getta. Z drugiej strony kontynuowałem moje starania o wyjazd za granicę. [252–253]

⁴ Zob. relację Ringelbluma (236).

Getto udaje mu się opuścić wraz z rodziną dopiero po rozpoczęciu wielkiej akcji likwidacyjnej. Tymczasem prezes Czerniaków mianuje go przewodniczącym Rady Zdrowia i profesor staje na czele walki z epidemią tyfusu w dzielnicy zamkniętej. Mieszka w domu parafialnym kościoła Wszystkich Świętych przy pl. Grzybowski, uczestniczy w katolickim życiu religijnym, a mianem „swojego narodu” skłonny jest obdarzać raczej Polaków niż Żydów. Notuje np. z dumą zjawiska pomocy płynącej zza murów: „serce rośnie na myśl, że mój naród, któremu opinia świata zarzuca antysemityzm, jest dobry” (306). Pobyt w getcie staje się dla Hirszfelda czasem wielkiej nauki i przewartościowania. Wytworzony przez lata obraz własnej tożsamości zostaje brutalnie zderzony z rzeczywistością „ostatecznego rozwiązania”. Autor przywdziewa więc opaskę z Gwiazdą Dawida, wkracza w nowe doświadczenie – „dopiero w dzielnicy poznałem bliżej duszę żydowską” (322) – ale o Żydach pisze wciąż „oni”.

Relacje osobiste z getta odsłaniają przed czytelnikiem ten wymiar doznań wewnętrznych, który zdaje się już nie mieścić w regulowanych przez kulturowe konwencje normach publicznego mówienia o sobie. Nie chodzi oczywiście o drastyczne szczegóły z życia prywatnego czy skandale obyczajowe, lecz o radykalizm i bezkompromisowość prowadzonej przez autorów autoanalizy, o odwagę sięgnięcia na dno własnej duszy, oszalanej z bólu, lęku i żądz zemsty. Spośród wielu świadectw tego typu wydobywam dwa, o wyjątkowo mocnej wymowie: dziennik Abrahama Lewina oraz pamiętnik Calela Perechodnika.

Abraham Lewin tworzy wielowątkowy wizerunek dzielnicy zamkniętej, utkany przede wszystkim z przeżyć i obserwacji własnych, ale też z wielu innych dostępnych mu źródeł (jako członek grupy „Oneg Szabat” był niejako w centrum informacyjnym getta). Obraz getta budowany jest z realiów, których dostarcza bogata warstwa faktograficzna narracji. Z kreślonych pospiesznie notatek, zredukowanych często do zdania czy strzępów zdań, charakterystycznych przede wszystkim dla gorączkowej relacji z wielkiej akcji likwidacyjnej, wylania się makabryczny świat. Dokumentalny zapis koszarnej rzeczywistości uzyskuje dodatkowy wymiar dzięki osobliwej aurze sennego koszmaru, który jest projekcją udręczonej psychiki autora i przenika na wskroś całe jego pisanie. W tym właśnie tkwi niezwykłość osobistego świadectwa Lewina. Jego getto jest światem odbitym przez mroczne zwierciadło duszy. Ten mroczny nurt przenika cały dziennik. Jest w nim stale: raz na powierzchni, innym razem tuż pod powierzchnią zdań. Czasem jawny, czasem utajony, stanowi ośnowę, w którą diarysta wplata zapisy kolejnych dni.

Takie słowa, jak „strach”, „lęk”, „groza”, bardzo często pojawiają się na kartach dziennika, powracają uparcie jak echo. Bywa, iż stanowią wyraźną dominantę leksykalną, zagęszczając językową tkankę tekstu anaforycznymi powiązaniem, refrenowymi powtórzeniami. W ten sposób narracja nasycana jest jakby od wewnątrz, strojona według egzystencjalnego tonu człowieka, który opowiada. Ów ton to – by przywołać tytuł głośnego dzieła Sørensa Kierkegaarda – „bojaźń i drżenie”.

Strach jest atrybutem samej rzeczywistości; miejsca i czasu: „dzień trwogi i niepokoju”, „Żydowskie ulice wieją strachem” (21, 125), „Czerń i strach – oto

nasze dziś i jutro” (21, 137), „koszmar rzeczywistości bezustannie tężeje i przekształca życie w piekło” (22, 94). Ogarnia wszystko i wszystkich, nikt nie zdoła przed nim uciec: „toczy nas bezustanny strach [...]. I zjada nas jak mól” (25, 124), „nasze serca i mózgi dławią wielki strach” (25, 126). Jest wyrazem powszechnego doświadczenia. Boją się wszyscy, więc Lewin mówi w imieniu zbiorowości. Pod datą 16 V 1942 czytamy:

Dusi i gniecie czarny strach. Coraz bliższa każdego z nas jest otchłań, morda apokaliptycznej bestii, na której czole wypisane są słowa: śmierć, zniszczenie, zagłada i bóle agonii, wieczna niepewność; ciągły strach jest najokropniejszym uczuciem spośród wszystkich naszych, jakże ciężkich i tragicznych, doznań i cierpień. Jeżeli doczekamy się końca obecnej straszliwej wojny, [...] stwierdzimy, że najstraszniejszym [...] było bezustanne życie w atmosferze strachu i lęku przed nagim życiem, nieprzerwane lawirowanie między życiem a śmiercią, stan, w którym każdej chwili sercu naszemu groziło, że po prostu pęknie z lęku i strachu. [19/20, 176]

Chociaż formuły zbiorowego wyznania lęku przeważają liczebnie nad wyznaniem osobistymi, to przecież boi się przede wszystkim sam Abraham Lewin. Swoją bojaźń i drżenie notuje w dzienniku:

Środa, 29 lipca [1942]. Ósmy dzień „akcji”. [21, 129]
Bywają chwile, kiedy jestem nieco spokojniejszy o mój los, czasem staję się trochę obojętny, ale nagle ogarnia mnie taki strach przed śmiercią, że jestem bliski obłędu. [21, 130]
Czwartek, 3 września [1942]. [...] Dziś był dzień nieszczęść. [...] Cudem ocaliliśmy z Urią. Boże, co to był za strach, co za uczucie bliskiej śmierci! [22, 98]

Zapisywaną dzień po dniu litanie strachu uzupełnia inny wątek – konstruowana również według litanijnego wzoru rozpaczliwa skarga, powtarzające się wyznania bólu i osobistego cierpienia: „Moja dusza nie może zaznać ukojenia. [...] czuję głęboki ból, który trwać będzie zawsze” (22, 86) – tak pisał Lewin po utracie żony, zabranej na Umschlagplatz w czasie blokady szopu⁵ przy Gęsiej 30. Autor wyrzuca sobie, że nie starczyło mu odwagi, by pójść za żoną, jak czynili to inni mężowie, że nie było w nim tyle miłości, by zginąć razem z nią. Miara wewnętrznego rozdarcia, jakiego wtedy doświadczył, zdaje się być już poza słowem, nie do wyznania, nie do opowiedzenia. Ale Lewin nie uchyla się od prób opisanie tej rany. Chce zanotować w dzienniku i przekazać również to szczególnie intymne i wstydlive doświadczenie klęski, upokorzenia, poniżenia.

Calel Perechodnik idzie jeszcze dalej w radykalizmie autoanalizy, czyniąc siebie samego przedmiotem okrutnej wiwisekcji. Już na początku, w przedmowie, w znamienny sposób kwalifikuje swój pamiętnik:

Właściwie jest to spowiedź z mego żywota, spowiedź szczerą i prawdziwą. [...] Proszę [...] traktować ten pamiętnik jako spowiedź przedśmiertną. [5]

Wszystko, co następuje dalej, jest wypełnieniem tej zapowiedzi. Obcujemy więc z tekstem, któremu autor nadał najzupełniej świadomie postać wyznania szczególnego rodzaju. Wpisana w tekst sytuacja wyznania zorganizowana jest

⁵ Tak nazywano przedsiębiorstwa niemieckie w getcie, zatrudniające ludność żydowską i produkujące na potrzeby wojska. W czasie wielkiej akcji likwidacyjnej praca w szopach miała chronić przed wywiezieniem, jednak wkrótce i tam zaczęto przeprowadzać brutalne selekcje.

wokół czasownika „spowiadać się”. Rozważmy więc znaczenie aktu mowy, jaki ów czasownik implikuje⁶.

Spowiadający się czuje wewnętrzny przymus, aby powiedzieć o sobie coś złego, a co jednocześnie jest głęboką prawdą, której nie może już dłużej skrywać. Pragnienie wyznania prawdy jest silniejsze niż chęć ukrycia zła. Ów przymus może mieć naturę religijną, moralną bądź czysto psychologiczną, kiedy wewnętrzny impuls zmusza człowieka do wyjawienia całej prawdy o sobie, nawet jeśli są w niej również ciemne strony. Areligijna motywacja spowiedzi ma miejsce właśnie w przypadku Perechodnika, który stwierdza: „gdybym wierzył w Boga, Raj, Piekło, w nagrodę czy karę pośmiertną, w ogóle bym nie pisał” (5).

Spowiedź Perechodnika jest przejmująca w swej konsekwencji. Opis osobistego cierpienia wymyka się z tonacji skargi, prowadząc do granic samooskarżenia i samopotępienia. Autor rzeczywiście pragnie odłonić całą prawdę o sobie i o świecie. Tę prawdę, jaką ujrzał podczas likwidacji otwockiego getta, kiedy jako żydowski policjant sam odstawił własną żonę i córeczkę do wagonu zmierzającego ku Treblince. Tę prawdę przyniósł ze sobą do kryjówek w aryjskiej części miasta i z nią zginął, spalony w bunkrze już po kapitulacji powstania warszawskiego. Był świadkiem i przenikliwym obserwatorem holokaustu. Był jego ofiarą, ale także i katem, wprzęgniętym w tryby maszyny zagłady. W pamiętniku spowiada się z tego tragicznego doświadczenia.

W nocy przed egzekucją my, policjanci żydowscy, pilnowaliśmy naszych żydowskich współbraci. Wiedzieliśmy, że nazajutrz rano zostaną zastrzeleni, zresztą skazańcy też o tym wiedzieli. [79]

Wszyscy chcieli uciekać. Pewnie z psychologicznego punktu widzenia było to zjawisko zupełnie zrozumiałe, ale my mieliśmy inny, własny punkt widzenia. Co mieliśmy bowiem robić my, biedne ofiary własnej podłości? Zezwalać im na próby ucieczki? Skazane były z góry na niepowodzenie, a dla nas oznaczało to wyrok śmierci. [82]

Najgorsza godzina przychodziła wtedy, kiedy musiałem wespół z kolegami przeciwdziałać chęci ratowania się innych Żydów. Gorzej już być nie mogło, czułem jak serce rwało mi się na strzępy. [83]

Podmiot pamiętnikarskiej spowiedzi jest dwuznaczny moralnie i nie zamierza tego tonować ani zamazywać. W tym tkwi siła świadectwa Perechodnika. Opisuje on psychiczne katusze, jakie przynosi cierpienie zmieszane z poczuciem winy, krzywda w połączeniu ze wstydem, bezsilnością i apatią. Ukazuje ból, którego doznaje sam i który sprawia innym. Rejestruje porażającą świadomość własnego współdziałania w zbrodni. Nie oczekuje przy tym wybaczenia, zrozumienia. Apeluje raczej o zemstę: „O jedno tylko proszę: wykonajcie wiernie mój testament zemsty” (219). Nie oszczędza siebie ani nikogo dookoła. Konstatuje destrukcję dotychczasowego świata wartości – katastrofę religii, bankructwo norm moralnych, rozpad więzów rodzinnych, społecznych. Mówi niejako „z góry samego siebie ruin” – by posłużyć się frazą Norwida – i kreśli obraz spustoszenia.

Perechodnik postanowił opisać siebie, zrozumieć to, co się stało z nim, z jego narodem, ze światem. Zgłębić doświadczenie, jakie zgotował mu los.

⁶ Opieram się na parafrazie semantycznej i komentarzu do hasła *Confess* w: A. Wierzbicka, *English Speech Act Verbs. A Semantic Dictionary*. Sydney 1987, s. 317–319.

Miał odwagę odbyć tę poznawczą podróż do końca, nie zatrzymując się w pół drogi, nie zadowolając się półprawdami. Postawił siebie w sytuacji spowiedzi przedśmiernej – czyli szczerości absolutnej, kiedy człowiek w obliczu rzeczy ostatecznych ma ujrzeć, kim jest naprawdę – i sprostą jej. W swojej spowiedzi dochodzi do kresu, do zamilknięcia: „pisać już więcej nie mogę. Czuję się zbyt winny” (209).

Listy Żydów z Płońska

Odrębna odmiana tekstu, w którym dyskurs jest silnie spersonalizowany, nastawiony na wypowiedzenie prywatności, intymności, to list. Abstrahuję tu od całej gatunkowej tradycji epistolografii, sądzę bowiem, że w tych listach, nad którymi chciałbym się zastanowić, nie odgrywa ona wielkiej roli. Chodzi o skrawki papieru wyrzucone z wagonu jadącego do obozu zagłady. W ciągu listopada i grudnia 1942 zostało zlikwidowane getto w Płońsku, a zgromadzeni tam Żydzi wywiezieni do Oświęcimia. Z transportu zdołano wyrzucić listy, adresowane do krewnych i znajomych z warszawskiego getta. Nie wiadomo, jakimi drogami dotarły one do Ringelbluma, który sporządził ich odpisy i włączył do Archiwum Getta Warszawskiego. Wydano te teksty w tomie pt. *Archiwum Ringelbluma*. Na ich przykładach obserwować można, w jaki sposób w szczątkowej formie listu zapisana została prywatność w sytuacji ostatecznej, *in articulo mortis*.

List jest szczególnym skupieniem słów. Są to słowa intymne, bo przeznaczone dla tej jednej, jedynej osoby, do której się pisze. Są to słowa ulotne, gdyż ta osobliwa rozmowa intymna między nadawcą a adresatem spisana jest na kartce papieru i niesiona – najzupełniej dosłownie – z jednego miejsca na drugie. Są to słowa ulotne również dlatego, że zanurzone w ulotności chwili, w jakiej je pisano. Odnoszą się do sytuacji i okoliczności znanych często tylko adresatowi i nadawcy. Zatem tylko w tym kontekście są zrozumiałe, tylko dla tego kontekstu istotne.

Słowa listu są ulotne również w tym sensie, w jakim za pomocą metafory lotu daje się ogarnąć nadzieja. List osadzony jest bowiem na fundamencie nadziei. Ten, kto wie, że jego list nie ma szans dotarcia do adresata – nie pisze. Nadzieja komunikacyjna jest więc warunkiem koniecznym, aby pusta kartka papieru zapełniała się pismem. I choć niejeden list nigdy nie został przez adresata przeczytany, to bez tak pojętej nadziei żaden list nie mógłby w ogóle powstać.

Jeśli ktoś w grudniu 1942, jadąc w bydlęcym wagonie do Oświęcimia, pisze do kogoś mieszkającego w getcie warszawskim i wyrzuca ten list po prostu w przestrzeń – to tak, jakby wierzył, że uda mu się przez zakratowane okienko dosięgnąć rozgwieżdżonego nieba.

W końcu r. 1942 getto mało przypominało Żydowską Dzielnicę Mieszkaniową sprzed 22 VII tego roku, kiedy to rozpoczęła się wielka akcja likwidacyjna. Ci, którzy pozostali, nie mieszkali już w swoich domach. Ostatecznie skoszarowano wszystkich z numerkami życia na zamkniętym terenie szopów i w przydzielonych blokach. „Dzicy” czy też „nielegalni” ukrywali się. Siłą rzeczy nikt nie mógł już mieć żadnego swojego adresu.

Miła, Niska, Muranowska, Nalewki – były najgęściej zaludnionymi ulicami getta szczątkowego. Wszystkie listy, jakie ocalały z transportu płońskich Żydów, adresowane są właśnie tam: Nalewki 47 m. 19; Niska 6; Miła 46; Muranowska 40 m. 35. Fizyczne istnienie adresata było w tamtym czasie iluzoryczne. Iluzoryczna była też możliwość dostarczenia listu owemu iluzorycznie istniejącemu adresatowi.

Od 15 I 1941 działalność poczty w getcie podlegała Gminie. Na początku wielkiej akcji likwidacyjnej Niemcy wprowadzili tzw. „*Postsperre*” – zakaz łączności pocztowej ze światem zewnętrznym. Po tygodniu zmienili rozporządzenie, pozwalając na jednokierunkowy ruch pocztowy. Wolno było rozprawdzać przesyłki nadchodzące do getta. Z terenu getta żadna poczta wyjść nie mogła. W czasie trwania wysiedlenia około 400 żydowskich listonoszy nieprzerwanie roznosiło listy. Krążyli po ulicach w czapkach z pomarańczowym otokiem. Te czapki miały ich chronić przed schwytaniem. Umschlagplatzu uniknął co dziesiąty.

O czym mówią listy płońskich Żydów? Co chcieli przekazać swoim krewnym ci, którzy jechali prosto do Oświęcimia? Jak się w takiej sytuacji pisze list?

16 XII 1942 na stacji kolejowej Warszawa-Praga wyrzuciła Łaja ze swego wagonu list do L. Przygody, zamieszkałego przy ul. Miłej 46. Dom ten stał jeszcze, choć za 5 miesięcy wraz z całą Miłą obrócił się w gruzy. Ale tego Łaja wiedzieć nie mogła. Nie wiedziała przecież, co za dzień czy godzinę stanie się z nią samą. Pisała więc:

Będąc na przystanku Praga kreślę do Was kilka słów. Jedziemy nie wiadomo dokąd. Bądź zdrów!

Łaja [197]

Inny list nosi nagłówek: „Płońsk 16/XII – 42”. Nadawca jest nieznany. Z treści listu wynika, że napisano go tuż po załadowaniu transportu, kiedy pociąg dopiero co ruszył.

Jest rano. Jesteśmy w wagonie z całą rodziną. Wyjeżdżamy w ostatnią drogę. Płońsk jest oczyszczony. Proszę wejść do Baumów, Niska 6, i im oddać ukłony. [196]

Łaja nie wiedziała, dokąd jedzie. Czy ten, kto napisał „wyjeżdżamy w ostatnią drogę”, wiedział?

Jedyny z płońskich listów, jaki nie został wyrzucony z wagonu, to list Diny i Sali do siostry Rózi w getcie warszawskim, datowany 14 XII 1942. Nie ustalono, w jaki sposób trafił do getta. Mowa w nim m.in. o „ostatniej karcie”.

Jak nam się zdaje, piszemy już ostatnią kartę. W środę o godzinie 5 nad ranem ruszamy wszyscy. Przed nami przygotowane leżą już skromne nasze bagaże, a na dworcu czekają już na nas wagony. Strasznie smutno na duszy na samą myśl, że tylko tę jedną noc jeszcze prześpimy w domu, a jutro już na tułaczkę w świat. Kto wie dokąd i gdzie nas los zaprowadzi, trudno sobie w ogóle wyobrazić nasze życie, co nas czeka i będzie. [193]

Czyżby „ostatnia karta” nie była tu metaforą życia zbliżającego się nieuchronnie do kresu, tylko ostatnią kartką listu, który trzeba już kończyć, bo późna noc, a jutro z samego rana wyjazd... „na tułaczkę w świat”?

Pożegnanie z siostrą jest wezwaniem do stoickiego pogodzenia się z losem, ale nie do porzucenia nadziei. Nawet najbardziej przerażająca rzeczywistość nie gasi irracjonalnej wiary w przetrwanie. Bo chociaż nie sposób przewidzieć,

co czeka skazanych, absolutnie niewyobrażalne zdaje się być tylko jedno – zagłada. Ostatni list do siostry w getcie staje się zatem przesłaniem nadziei, wbrew wszystkiemu i pomimo wszystko.

Żegnaj więc, najdroższa. Wiem, że trudno będzie Ci się pogodzić z myślą, że nas już straciłaś, ale cóż my możemy zrobić. Tak chce los i tak musi być. Żegnam Cię, mocno Cię do swego serca tulę. Obyśmy się jeszcze zobaczyły.

[...] Gdziekolwiek będziemy, myśli nasze zawsze będą przy Tobie, najdroższa nasza. [...] Bądź zdrowa, jedyna nasza! Wierzmy, że będziemy żyły i że się jeszcze zobaczymy! [193]

Podobnie zdaje się myśleć Gitla, która podczas postojów transportu w Częstochowie wyrzuca list adresowany na Muranowską 40 m. 35. Na karcie z adresem napis: „Jesteśmy już drugi dzień w drodze”. Na odwrocie, wraz z datą „17/ XII / – 42”, następujący tekst:

Droży Moi!

Jesteśmy obecnie przejazdem w Częstochowie, więc kreślę do Was kilka słów. Przejechaliśmy także Warszawę, jedziemy do pracy. Bądźcie dobrej myśli. Nowego adresu Wam nie podaję, gdyż nie mam go jeszcze.

Żegnajcie i całuję, Wasza

Gitla [198]

Można się zastanawiać, na ile Gitla wierzyła w to, co pisała. Czy nadzieja była tu tylko figurą retoryki epistolarnej, pocieszeniem dla krewnych? Czy też autoterapią? Objawem naiwności czy też tzw. białym kłamstwem, z jakim zwraca się lekarz do śmiertelnie chorego?

Jeszcze trudniej odgadnąć intencje Dawida, który napisał kartkę datowaną „Legionowo, 15 grudnia 1942”, zaadresowaną „W-wa, Nalewki 47/19”, z dopiskiem przy adresie: „Proszę wrzucić do skrzynki przez grzeczność”. I jeszcze jeden dopisek: „dopłata 18 gr”. Oto treść:

Dziś wyruszyliśmy z Płońska, cała nasza rodzina i wszystkie Żydy wyjechali. Bądź przytomna, bo jedziemy na wesele.

Do widzenia

Dawid [194]

Dawid używa konwencjonalnej formuły, jaką stosuje się przy nadawaniu korespondencji, której dostarczenie będzie wymagało, prócz pracy poczty i listonosza, czyjejs przysługi. Skrupulatnie odnotowuje też, ile adresat musi dopłacić przy doręczeniu, aby zrekompensować brak znaczka. Tak dokładnie i fachowo zaadresowany list wyrzuca następnie z wagonu, który wiezie go do Oświęcimia.

Jest to najbardziej niepokojący tekst z całej sekwencji płońskich listów. Na tle przekazywanych adresatom informacji o celu podróży: „ruszamy [...] na tułaczkę w świat”, „wyjeżdżamy w ostatnią drogę”, „jedziemy nie wiadomo dokąd”, „jedziemy do pracy” – ta, którą podaje Dawid, wydaje się zupełnie absurdalna: „jedziemy na wesele”. Co to może znaczyć? Szyderczą ironię? Makabryczny żart? Zaszyfrowane ostrzeżenie? Jeśli już zdecydował się coś napisać, jeśli zdobył kartkę i ołówek i w zatłoczonym wagonie nabazgrał te parę słów, jeśli odważył się wyrzucić ten list – to dlaczego napisał właśnie to?

Mniej więcej wiemy, co działo się później z Dawidem. Znamy technologię uśmiercania, którą wobec niego zastosowano. Możemy sobie wyobrazić wszystkie etapy procesu, jakiemu poddano jego ciało. Nie wiemy tylko –

i nigdy już się nie dowiemy — dlaczego wtedy, w wagonie jadącym do Oświęcimia, napisał: „Bądź przytomna, bo jedziemy na wesele”.

Tajemnica, jaka niepokoi nas w liście Dawida, wskazuje jednocześnie na fenomen indywidualnego, prywatnego świadectwa. Nieoszacowany jest walor takiego okrucza czyjegoś losu — okrucza cudem trafiającego do naszych rąk. Moc takiego świadectwa przejawia się właśnie w tym, co w nim nieprzekładalne, nie do wyjaśnienia i nie do odgadnięcia. Co nie poddaje się standaryzacji, uogólnieniu, wymyka się statystyce. Jest ono, jak kamień, konkretne i nieprzenikliwe. List Dawida pozostanie dla nas tajemnicą. Niepokój, jaki w nas zasiewa ten list, odsłania szczelinę, przez którą zdaje się przeświecać jakaś część prawdy o zagładzie.

2

Obszar tekstów, w których obserwujemy takie czy inne kierunki odchodzenia od dyskursu spersonalizowanego, jest bardziej zróżnicowany niż ten, w którym dominuje strategia mówienia w pierwszej osobie. Te różnorodne przejawy depersonalizacji dyskursu mają wspólną podstawę. Jest nią przeświadczenie, formułowane przez autorów wprost bądź zawarte *implicite* w sposobie konstruowania samego tekstu, że znaleźli się oto w sytuacji absolutnie wyjątkowej, narzucającej im — ludziom prywatnym i zwyczajnym — misję nadzwyczajną. Na pierwszym planie nie może się zatem znaleźć los osoby piszącej, lecz los zbiorowości. Ważne jest bowiem nie tyle to, co przeżywam „ja”, co dotknęło mnie osobiście, ile to, co dzieje się z nami wszystkimi, co dzieje się wokół.

Ta ponadjednostkowa perspektywa jest również widoczna w dyskursie spersonalizowanym. Narrator pierwszoosobowy może ją zarysować, jest przecież zdolny do uogólnień, do ujęć panoramicznych i do opisywania scen zbiorowych, do prób przekroczenia osobistego doświadczenia i spojrzenia na całość. Ludwik Hirszfeld czy Cael Perechodnik — każdy na swój sposób — prezentują ogólne oceny ludzkości uwikłanej w wojnę, refleksje dotyczące sensu historii, samego doświadczenia zagłady. Abraham Lewin wyraża nie tylko własny lęk i ból, wypowiada także cierpienie zbiorowości, w jego głosie słychać bojaźń i drżenie całej wspólnoty.

Dla wielu autorów narracja pierwszoosobowa okazuje się jednak niewystarczająca. Chcą porzucić jednostkową, a więc ograniczoną, perspektywę. Chcą uwolnić się od bezpośrednich uwikłań w relacjonowaną rzeczywistość i spojrzeć na nią z pewnego dystansu. Interesują ich bowiem przede wszystkim procesy historyczne, społeczne, gospodarcze, funkcjonowanie instytucji publicznych w warunkach terroru i okupacji, interesują ich przeobrażenia norm i wartości organizujących życie wspólnoty poddanej eksterminacji, mechanizmy samoobrony i oporu zbiorowego. Realizacji tych celów najlepiej zdaje się służyć model narracji trzecioosobowej. Autor wyręcza się narratorem nieupostaciowanym, samego siebie usuwając w cień. Dystans, o który zabiega, wpisany jest już w samą konstrukcję aktu opowiadania. Opowiadacz zostaje ukryty, a opowiadany świat — wyeksponowany.

Bezosebowa prezentacja świata zakłada inną postawę poznawczą niż prezentacja dokonywana przez konkretny podmiot w tym świecie umiesz-

czony. Pozbawiona jest jakiegóś określonego punktu widzenia przywiązanego do postaci, od czego narrator pierwszoosobowy uciec nie może. Podmiot tak usytuowany staje się *medium* przezroczystym, czyli nie przesłania sobą świata, porządkuje go tylko. Jest czymś w rodzaju „narratora wszechwiedzącego”. Świat przez takiego narratora prezentowany zyskuje walor obiektywności. Komentarze i oceny przekazywane są również jako prawdy obiektywne, a nie subiektywne sądy. Takie usytuowanie podmiotu mówiącego namaszcza go zatem swoistym autorytetem. Ufundowany jest on na przeświadczeniu, iż za posługującym się taką konwencją narracyjną podmiotem stoi jakiś obowiązujący system poglądów, kryteriów oceny i norm rozumienia. Krótko mówiąc — że jest on wyrazicielem prawdy obiektywnej⁷.

Zdepersonalizowany narrator, rejestrujący potok obrazów, analizujący chłodno i fachowo splot przeróżnych zagadnień, przytaczający dane liczbowe, formułujący wnioski i oceny, przybiera charakter unoszącego się nad światem obserwatora. Wykracza poza ograniczony horyzont jednostki, aby widzieć więcej i więcej wiedzieć. Jego głos staje się głosem zbiorowości, przemawiającym z głębi czasu teraźniejszego ku przyszłości. Taka postawa kryje w sobie optymistyczne przekonanie, iż fundamenty cywilizacji, ciągłość historii, łańcuch więzi generacyjnych — choć śmiertelnie zagrożone — nie zostały jednak definitywnie rozerwane. Ten, kto mówi w imieniu skazanych na zagładę i zwraca się z przestrożą do obywateli wolnego świata, którzy kiedyś nadejdą, zakłada, iż taka komunikacja jest w ogóle możliwa. Zdepersonalizowany narrator kieruje swoje przesłanie ku równie zdepersonalizowanej ludzkości, do bezosobowo pojętych przyszłych pokoleń, a szczególnie do fachowców i specjalistów — historyków, sędziów, moralistów. Dla nich to przede wszystkim gromadzi materiał do analizy, przygotowuje materiał dowodowy. Wierzy bowiem w trwałość instytucji i zdobyczy cywilizacyjnych, jakimi są prawo, sprawiedliwość, sądy.

Narrator osobowy apeluje do osób, oddziałuje na emocje, bo objawia emocje. Siłę, która pozwala mu pisać, stanowi wiara w przetrwanie pojedynczego człowieka, ale ono nie jest zawsze jednoznaczne ze zwycięstwem ludzkości i triumfem sprawiedliwości. Czasami więc apel do przyszłego czytelnika, który odnajdzie kiedyś pod gruzami osobiste świadectwo autora — niczym list w butelce wyłowiony z morza — przybiera postać krzyku kierowanego w niewiadome. Ten krzyk ma wzywać do zemsty, ma niepokoić i dręczyć. Adresat tak pojmowanego pisania to przedstawiciel świata po potopie. Autor niejednokrotnie wątpi, czy będzie on w stanie przyjąć świadectwo: czy zrozumie, czy uwierzy w to, co czyta?

Te dwie zrekonstruowane postawy podmiotu mówiącego oraz odpowiadające im wizerunki adresatów nie dadzą się ściśle i symetrycznie przyporządkować do dwóch omawianych tu typów dyskursu. Mogą występować w jed-

⁷ O kwestii autorytetu narratora wszechwiedzącego w powieści realistycznej i prawdy w powieści zob. M. Głowiński: *Powieść i autorytety*. W: *Porządek, chaos, znaczenie. Szkice o powieści współczesnej*. Warszawa 1968; *Powieść i prawda*. W: *Gry powieściowe. Szkice z teorii i historii form narracyjnych*. Warszawa 1979. „Narrator wszechwiedzący” w literaturze dokumentu osobistego z warszawskiego getta ma wszakże jedną — ale zasadniczą — ułomność: tak naprawdę nie wie, jak to się wszystko skończy i jaki będzie los jego samego.

nym bądź w drugim porządku, nasycając np. pesymizmem komunikacyjnym zobiektywizowaną narrację trzecioosobową, a z kolei narratora osobowego obdarzając wiarą w trwałość ładu świata i zwyczajstwo międzyludzkiej solidarności. W ten sposób przejawia się stałe napięcie między dyskursem spersonalizowanym i zdepersonalizowanym.

Horowitz – Sznapan – Puterman

Liczący blisko 250 stronicz maszynopisu tekst pt. *Przesiedlenie w zaświaty* sygnowany jest inicjałami B. H., które prawdopodobnie należą do Beniamina Horowitza⁸. Był on kierownikiem jednego z wydziałów Zakładu Zaopatrzenia Gminy, a także działał w Żydowskiej Samopomocy Społecznej. Wykazuje bardzo dobrą orientację w społecznym, administracyjnym i gospodarczym życiu getta. Odnacza się dużą kompetencją w zakresie problematyki prawnej i ekonomiczno-handlowej. Świadczy o tym np. ciekawa analiza działalności poborców podatkowych i sekwestраторów czy ukazanie wielopiętrowego systemu czerpania nielegalnych zysków. Słowem, autor jest fachowcem. Ma dostęp do wielu źródeł informacji, wgląd w funkcjonowanie wielu instytucji, zna wszystkich najważniejszych oficjeli getta. Ta wiedza i profesjonalizm dają mu ogromną przewagę nad przeciętnym mieszkańcem dzielnicy zamkniętej. Autor stara się ze swojej uprzywilejowanej pozycji objąć panoramicznym spojrzeniem cały dostępny mu w doświadczeniu okres okupacji. Chce przedstawić nie tylko opis faktów, lecz także dokonać wstępnej problematyzacji poruszanych zagadnień.

Horowitz sam kwalifikuje swój tekst jako reportaż i deklaruje następujący zamysł kompozycyjny:

Reportaż niniejszy ma na celu ujawnienie tych materiałów, jakie autorowi były dostępne, oraz osobistych jego doświadczeń i obserwacji w latach 1939–1944. Ze względów technicznych treść rozpada się na trzy działy: a) stosunek Niemców do Żydów; b) stosunek wzajemny Polaków i Żydów; c) przeżycia wewnętrzne społeczeństwa żydowskiego. [...] Poruszenie wszystkich trzech aspektów wydarzeń przy jednoczesnym utrzymaniu ścisłego porządku chronologicznego wydawało się niecelowe, gdyż zaciemniłoby znaczenie każdego poszczególnego zagadnienia. Przy omówieniu oddzielnym każdego z nich nie udało się jednak uniknąć nawrotów i drobnych powtórzeń. [8]

Mamy tu więc do czynienia z tekstem o przemyślanej konstrukcji oraz z autorem charakteryzującym się wysokim stopniem samoświadomości pisarskiej. Nadając swemu „reportażowi” układ chronologiczno-merytoryczny, Horowitz wybiera najstosowniejszy do zrealizowania takiej formuły sposób narracji. Podmiot mówiący ginie z pola widzenia. Narracja jest zobiektywizowana, prowadzona często suchym, urzędowym stylem, wypranym z emocji. W pamiętniku dominuje czas społeczny, historyczny (przedstawienie historii Żydów warszawskich pod okupacją), a nie czas prywatny, czas wydarzeń osobistych. Mało jest też ujawnianych wprost refleksji osobistych.

⁸ W taki – hipotetyczny – sposób inicjały autora rozwiązuje karta informacyjna jednostki archiwalnej z zespołu Pamiętniki, sygn. 121, w Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego. M. Grynberg natomiast w regestach do pamiętników nie objętych opracowaniem przez siebie wyborem (*Pamiętniki z getta warszawskiego. Fragmenty i regesty*. Warszawa 1988, s. 366) pozostawia inicjały jako nie rozszyfrowane.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na losy samego tekstu i wpływ, jaki wyrzeć musiały na ewolucje jego kształtu. „Reportaż” Horowitza, pisany w konspiracji na bieżąco, w pierwszej wersji zaginął. Autor napisał go ponownie w lipcu 1944, już z pamięci, ale jeszcze w ukryciu. Ta wersja również zachowała się tylko częściowo i autor po raz drugi (prawdopodobnie w Lublinie w 1945) odtwarza część tekstu i uzupełnia go o wiadomości zdobyte już po wyzwoleniu. W roku 1946 tekst adiustował (w maszynopisie widoczne są skreślenia, skróty, poprawki stylistyczne) i opatrzył przypisami Władysław Pawlak, najwyraźniej na potrzeby wydawnicze. Na rękopisowej karcie tytułowej zanotowano bowiem: Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza” 1947. Tekst opatrzony został krótkim wstępem, datowanym „W-wa, czerwiec 1946”. Jest też pieczęć cenzury zezwalająca na składanie i druk. W tekście liczne ślady cenzorskiego ołówka. *Przesiedlenie w zaświaty* nie zostało jednak wydane.

Wersja, która dotrwała do naszych czasów, jest więc swoistym palimpsestem. Odcisnęły się na niej nie tylko ślady kilku okresów pisania, lecz także redakcyjnych adiustacji, a nawet ingerencji cenzury. Kolejne fazy przeobrażeń, uzupełnień, przeredagowań jeszcze bardziej osłabiają spontaniczność zapisu, i tak już z założenia przecież chłodnego, wyzbytego emocji i zdystansowanego wobec relacjonowanego świata.

O Stanisławie Sznapmanie, którego ocalały pamiętnik przekazali po wojnie do Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego Helena Boguszewska i Jerzy Kornacki, praktycznie nic nie wiadomo. Sam tekst również niczego w tej materii nie wyjaśnia, gdyż autor programowo usuwa się w cień, nie pisze o sobie. Wiemy jedynie, że przebywał w getcie do lipca 1943, a następnie przedostał się na stronę aryjską, gdzie zginął w nie ustalonych okolicznościach. Tytuł, jaki nadał swemu tekstowi – *Dziennik z getta* – mylnie sugeruje, iż jest to sporządzany na bieżąco zapis diarysty. W rzeczywistości Sznapman zaczął pisać dopiero w ukryciu po stronie aryjskiej, zaznaczając dystans czasowy wobec relacjonowanych zdarzeń. Nie prowadził notatek dziennych, lecz snuł rozważania i wspomnienia, przyjmując bardzo wyraźnie perspektywę ponad-jednostkową. Prywatność autora jest zredukowana niemal do zera i podporządkowana sferze publicznej i czasowi publicznemu. Swoim spojrzeniem chce on ogarnąć całość, a narracji nadać ton zobiektywizowany, uogólniający, łączący refleksje z rejestracją faktów.

Jest to zatem pamiętnik poświęcony zbiorowości, a nie osobie autora, który los tej zbiorowości dzieli i opisuje. Narrator stara się być neutralnym obserwatorem, przedstawiającym i komentującym wydarzenia, których był świadkiem. Stąd zapewne bardzo dużo bezosobowych form narracyjnych⁹. Obok nich pojawia się także zbiorowe „my” – inny rodzaj ucieczki od narracji personalnej. Mówienie w pierwszej osobie liczby mnogiej jest manifestacją wspólnoty losu. Stanowi też dla autora pośredni sposób wyrażania silnych emocji, które on zazwyczaj konsekwentnie ukrywa, nie pozwala sobie na ich ujawnianie:

Nadzieja zaczyna wstępować w nasze serca. Może jednak doczekamy cudu. Tak bardzo pragnęlibyśmy przetrwać i zobaczyć pogrom bestii. [138]

⁹ Np.: „Ludność odetchnęła. Zaczęło się wychodzić na ulice i oglądać spustoszenia” (21); „Ludzi lokowano na wozach i odwożono na tak zwany »Umschlagplatz«. Tam ładowano do wagonów towarowych [...]” (92).

Charakterystycznym rysem pamiętnika Sznapmana jest wpleciona w narrację głęboko pesymistyczna refleksja o naturze ludzkiej i historii. Sytuacja zagłady obnaża w człowieku egoizm, odziera z uczuć wyższych, degraduje. Historia natomiast nie odda sprawiedliwości ani ofiarom, ani katom. Prawda o zagładzie będzie przedmiotem manipulacji, zbrodniarze zaś wymkną się sprawiedliwości, będą wybielani. Za zrabowane pieniądze mordercy kupią sobie gdzieś w ciepłych krajach Ameryki Południowej bezpieczny azyl. Te gorzkie, gryzącym sarkazmem przesiąknięte słowa pisał człowiek, któremu nie było dane obserwować, jak spełnia się po wojnie jego czarne proctwo.

Samuel Puterman, funkcjonariusz Służby Porządkowej w getcie, stosuje w swoim pamiętniku zabiegi charakterystyczne dla powieści klasycznego realizmu. Konstruuje trzecioosobowego, wszechwiedzącego narratora, którego opowieść o getcie toczy się w wielu odsłonach. W sposób przemyślany skomponowane sceny, z plastycznie zarysowanymi postaciami i dialogami, mają swoją wewnętrzną dramaturgię. Ich kształt zdradza obycie z warsztatem literackim. Autor świadomy jest funkcji oszczędnego opisu, krótkiego i wyrazistego dialogu. Potrafi zatrzymać się na jakimś szczególe, zastosować w odpowiednim miejscu niedomówienie, zamilknięcie albo ekspresyjny wykrzyknik. Jak przystało na narratora wszechwiedzącego, odtwarza i relacjonuje tok myśli swoich bohaterów.

Puterman posiada rozległą wiedzę o realiach i postaciach getta. Odznacza się ostrością widzenia, szczególnie umiejętnością szkicowania wyrazistych portretów. Dbą o dokładne osadzenie opowiadanych zdarzeń w czasie i przestrzeni, o odtworzenie wiernej topografii. Tak oto otrzymujemy udramatyzowany wizerunek dzielnicy zamkniętej, w wielu miejscach przypominający fabularyzowany reportaż. Reporter pozostaje głęboko ukryty za przedstawianą rzeczywistością.

Przyjrzyjmy się bliżej scenie, która stanowi jeden z punktów kulminacyjnych owego udramatyzowanego reportażu. Oto 22 VII 1942 do gabinetu prezesa Gminy, Czerniakowa, wkraczą Sturmbannführer SS Höfle – dowódca przybyłej właśnie do Warszawy z Lublina Vernichtungskommando, Untersturmführer SS Brandt – referent do spraw żydowskich w warszawskim gestapo i Oberscharführer Mende. Komunikują prezesowi rozkaz o wysiedleniu i przedkładają do podpisu stosowne obwieszczenie. Jesteśmy świadkami wydarzenia, którego nikt prócz czterech jego uczestników nie mógł widzieć. Narrator prezentuje miejsce akcji, zachowanie postaci, zwraca uwagę na charakterystyczne szczegóły, buduje atmosferę.

Chwilę panowała niczym nie zmacona cisza, lipcowe słońce świeciło przez witraże¹⁰, kładąc tęczowo barwne plamy na ściany gabinetu. [...] Brandt kołysał miarowym ruchem błyszczącym butem, uderzając do taktu białym rulonem papieru. Prezes zastygł w bezruchu. Mózg ukryty za wysokim czołem pracował intensywnie. [90]

¹⁰ Szczegół dotyczący witraży zdradza znakomitą znajomość realiów. Czerniaków rzeczywiście zamówił do okien swojego gabinetu witraże, przedstawiające sceny biblijne. Wykonał je artysta Józef Śliwniak na początku lutego 1942. Czerniaków był z nich bardzo zadowolony: „Wypadły bardzo pięknie” – pisał 4 II 1942 (249), a pod datą 12 II 1942 sporządza taką notatkę: „Ładny dzień. Słońce cudownie reflektuje przez witraże w moim gabinecie” (251). Jest rzeczą nieprawdopodobną, aby Puterman znał te zapiski Czerniakowa, a jednak oba fragmenty o witrażach są w jakiś tajemniczy sposób podobne.

Śledzimy bieg myśli prezesa, skontrastowany z suchym, imperatywnym tonem przemawiających doń gestapowców. Czerniaków wciąż milczy, ale już wkrótce musi odpowiedzieć. Nieubłaganie zbliża się moment podjęcia decyzji. W tym miejscu narrator przechodzi wyraźnie na mowę pozornie zależną:

Czerniaków wziął papier i pióro. Coś wewnątrz krzychało trzymaj się, za wszelką cenę wytrzymaj. Przekłete serce, jak ono bije. Muszę teraz zacząć mówić. Westchnął głęboko, zaczerpnął tchu i wy dobył z siebie, zdawało mu się, bardzo spokojny głos. [91]

Cała dramatyczna scena kończy się podaną w lakoniczny sposób informacją o samobójstwie, z charakterystycznym odnarratorskim komentarzem oceniającym.

Twarz prezesa była blada, ale uśmiechnięta. Wyzwalającym uśmiechem śmierci. Prezes otruł się maleńkim proszkiem cyjankali. Gorące serce inżyniera Adama Czerniakowa, prezesa największej żydowskiej gminy w Europie, przestało bić. [91]

Ten przykład pokazuje sprawność warsztatu literackiego (wyrafinowany chwyt zastosowania mowy pozornie zależnej!) oraz skalę efektu artystycznego, do jakiego autor świadomie dąży. Nawet kosztem delikatnego retuszowania faktów. Prezes Czerniaków otruł się bowiem w swoim gabinecie nie pierwszego dnia wysiedlenia (a o tym właśnie dniu, o 22 VII 1942, kiedy gestapowcy oficjalnie powiadomili prezesa o rozpoczęciu akcji wysiedleńczej, mówi analizowana scena), ale dzień później. Puterman myśli jednak w kategoriach dramaturgicznych, czuje się w jakimś sensie reżyserem relacjonowanej rzeczywistości.

Dopiero na samym końcu pamiętnika, już z perspektywy końca wojny, ujawnia się narracyjne „ja”. Tym pierwszoosobowym narratorem jest bez wątpienia Puterman, który dopiero teraz odsłania swą własną twarz. Ukrywał się po stronie aryjskiej. Po powstaniu warszawskim wywieziony do Sachsenhausen i Oranienburga, tuż po wyzwoleniu wraca do Warszawy. Jest wreszcie wolny, ale wolność przyszła za późno. Wśród gruzów nikt nie czeka. Z całą mocą osobistego wyznania Puterman wypowiada swój prywatny ból. Zrzuca maskę bezosobowego *medium* narracyjnego i mówi już tylko od siebie i o sobie:

Nie ma nikogo! A tylu ludzi wokół. Wróciłem, przeżyłem [...], ale nikogo to nie ucieszyło. Szedłem z biciem serca, walącym, płonącym gorącymi falami krwi. [...] Wróciłem na wolność, a tyś na mnie nie czekała przed domem. Na mój widok nie odjęłaś radośnie rąk od twarzy. Twoje zielone oczy nie zabłysły szczęściem. Powitał mnie jeszcze nie wywietrzały <swąd> spalenizny i puste oczodoły zniszczonego domu. [323]

Kula – Ringelblum – Landau

W przedmowie do *Kroniki lat wojny i okupacji* Ludwika Landaua Witold Kula wyraża się z podziwem o bezosobistym tonie autora tego monumentalnego dzieła. Różne zapiski ocalałe z lat okupacji mają prawie wyłącznie charakter pamiętnikarski, nie zaś kronikarski – twierdzi Kula – myśląc najwyraźniej o manifestacyjnej obecności pierwiastka osobistego w pamiętniku i o ukryciu go w kronice. W źródłach pamiętnikarskich „indywidualne ludzkie przeżycia są motywem głównym”, chociaż – zaznacza autor przedmowy – „przebija się [tam] myśl szersza [...]: dać świadectwo prawdzie”. Na tym tle *Kronika* Landaua jest ewenementem. „Wstrząsająca [jej] wymowa [...] po-

chodzi chyba z całkowitego braku akcentów osobistych, z pominięcia wszystkiego, co nie ma ogólnego znaczenia” (V).

Pisząc tę przedmowę w grudniu 1960 Witold Kula był już historykiem znanym. Pochwała Landaua jako autora perfekcyjnie przygotowanego źródła do badań historii najnowszej ma tu swoją wymowę. Jest wyrazem przekonania dojrzałego już naukowca. Okazało się jednak, iż on sam był autorem *Dziennika z czasu okupacji*, odnalezionego niedawno w jego papierach pośmiertnych. Dziennik ten daleko odbiega od formuły, którą Kula tak wysoko oceni 20 lat później. Otóż tych kilkadziesiąt stron osobistych zwierzeń młodego adepta nauki, spisanych nieregularnie w okupowanej Warszawie, przypomina szkic do powieści autobiograficznej. Notatki do planowanych prac naukowych, sprawozdania z lektur, wstępne sformułowania tez i koncepcji, wytyczanie sobie zadań badawczych — wszystko to nie przesłania głęboko introspekcyjnego charakteru zapisków. Nie są to bynajmniej zapiski bezosobiste. Autor odsłania swój wewnętrzny dramat i to on jest głównym przedmiotem dziennika. Dopiero przez pryzmat owych zmagania diarysty z samym sobą czytelnik patrzy na okupacyjne realia.

najbardziej męczącym i wyczerpującym dla mnie podczas okupacji — zwierza się Kula 23 VII 1942 — jest stały wysiłek psychiczny, na który muszę się zdobywać tak bez przerwy, jak bez przerwy muszę oddychać, a skierowany jest ku dwóm celom: by się nie bać i by nie myśleć o dziejących się okropnościach. [46]

Jednak próba odgrodenia się od naporu brutalnej rzeczywistości kończy się porażką. Pod datą 24 VII 1942 czytamy:

Przeżywam najjaskrawsze zaprzeczenie tego, co wyżej pisałem. Nie mogę pracować, myśleć, czytać, nawet spać — nie mogę myśli oderwać od okropności, które się dzieją. [...] (Przerzywam. Nie mogę pisać. Idę wiązać buty.) [48]¹¹

Jest to ostatni zapis dzienny. Diarysta porzuca zatem prowadzenie dziennika dwa dni po rozpoczęciu wysiedlenia w getcie. Trzeba w tym miejscu przypomnieć, że doprawdy mało brakowało, a Witold Kula pisałby swój dziennik po tamtej stronie muru. Jego pierwsza żona, Nina z Jabłońskich Kulina, która zmarła w 1943, była pochodzenia żydowskiego. Już w listopadzie 1939 autor staje przed dylematem: „Każą mi decydować wybór między pójściem do getta a uciekaniem na wschód” (12). Ostatecznie postanawia zostać po aryjskiej stronie. W kontekście tego wyboru zdanie, na którym urywa się tekst dziennika, nabiera dodatkowej głębi:

Zdobyć się na jasną, zwartą koncepcję swego własnego życia — nielatwo. A bez otarcia się o śmierć — chyba nawet niepodobna. [48]

To zdanie potwierdza też ostatecznie indywidualny, osobisty wymiar okupacyjnych zapisków Witolda Kuli, na którym *Kronika Landaua* wywarła po latach wstrząsające wrażenie właśnie „całkowitym brakiem akcentów osobistych”.

¹¹ Autor pracował jako magazynier „w jednej z najdziwniejszych instytucji w okupowanej Warszawie: w fabryce butów Instytutu Spraw Społecznych” (W. Kula); „ISS zatrudniał 100 warszawskich szewców, a na liście płacy znajdowało się ponad 50 znakomitych naukowców i twórców” (P. Wójcik). Cyt. z przypisu w *Dzienniku czasu okupacji* (57). Owo „wiązanie butów” było więc zajęciem służbowym.

Landau prowadzi swą *Kronikę* systematycznie i na bieżąco, notuje skrupulatnie daty, fakty, opinie. Syntetyzuje własne obserwacje, dostępne mu materiały prasowe (oficjalne i konspiracyjne) oraz inne docierające do niego źródła. Napływające informacje stara się poddawać wstępnemu opracowaniu, w czym niewątpliwie pomaga mu ukształtowany przed wojną warsztat naukowy i wrażliwość zawodowego badacza procesów społecznych i gospodarczych. Porusza się na wielu obszarach: okupowana Warszawa (w tym getto), Generalne Gubernatorstwo, ziemie wcielone do Rzeszy i będące pod okupacją sowiecką, światowy teatr wojenny. Ta wieloperspektywiczność obiektywizuje narrację, zmierzającą do dokumentowania zdarzeń oraz prób ich weryfikacji i interpretacji.

Warto jednak pamiętać, że wielkie dzieło Landaua zaczyna się perspektywą najzupełniej osobistą, prywatnym spojrzeniem na wojnę. *Kronikę* otwiera zapis opatrzony datami 30 IX – 17 X 1939. Oto jego pierwsze zdania:

Na pamiętnik czasu wojny właściwie trochę za późno [...]. Sądzę jednak, że okres, jaki mamy jeszcze przed sobą, wart jest notowania; obecnie zaś chcę uchwycić wrażenia, jakie pozostały mi z miesiąca wojny [...]. [3]

Następuje obszerna relacja z oblężenia Warszawy – połączenie pasjonującego pamiętnika cywila, który obserwuje działania wojenne i notuje nastroje chwili, z kompetentnym opisem sytuacji politycznej i militarnej. W ten sposób ujawnia się napięcie między osobistym a bezosobistym typem dyskursu. W dalszych partiach *Kroniki* autor zdecydowanie wybiera ten drugi.

Kronika getta warszawskiego Emanuela Ringelbluma nie jest już utrzymana w tak chłodnym i obiektywistycznym tonie, chociaż autor wznosi się ponad jednostkową perspektywę poznawczą. Swoim zainteresowaniem obejmuje krąg znacznie szerszy niż pole jego bezpośredniego doświadczenia – los Żydów na całym terytorium Polski. Oddziela własne obserwacje od rzeczy zasłyszanych, dane zdobyte przez siebie od wiadomości pochodzących z drugiej ręki. Poszczególne segmenty tekstu opatruje często swoistą ramą modalną, określającą status zawartych tam treści i ich źródło. Raz wskazuje na pewien dystans w stosunku do przekazywanych informacji, podkreślając swoją rolę pośrednika, zbieracza: „słyszałem, że”; „opowiadano mi”; „mówią, że”; „opowiadają”; „podaje się, co następuje”. Innym razem ogranicza się do bezosobowej prezentacji, poprzedzając zapis kwalifikatorem typu: „scena:”; „obrazek:” czy „taki oto obrazek:”. Po dwukropku następuje przedstawienie tak zapowiedzianego zdarzenia. Kiedy indziej wyraźnie zaznacza fakt naoczności: „na własne oczy widziałem taki oto obraz:” (307) lub „widziałem taką scenę:” (250).

Uderza migawkowość narracji, niesłychana ilość drobnych szczegółów, scenek, obrazów, które niekiedy rozsadzają ramy kronikarskiego zapisu. W miarę upływu czasu Ringelblum pisze coraz bardziej pospiesznie, gorączkowo. Wymogi konspiracji sprawiają, iż *Kronika* powstaje partiami. Kolejne części trafiają do Archiwum Getta i zostają natychmiast ukryte. Zapisy są z konieczności fragmentaryczne, nie uporządkowane, często nie opracowane redakcyjnie. Zwraca też uwagę niejednorodność stylistyczna. Styl kolokwialny i gwara getta mieszane są z językiem analizy historycznej. Autor notuje powiedzonka, żarty, przejawy gettowego folkloru. Miejscami stosuje swoisty

szyfr, język ezopowy. Rozwija np. cały system kryptonimów na określenie Niemców. Najczęściej pojawia się słowo „Galeje” (czyli gestapo) i „tamci” (ogólnie: Niemcy), są też „władcy” i „żółci” (gestapo). Hitlera nazywa „Horowitzem” lub „Czapnikiem” (słowo „hitler” znaczy w języku żydowskim: czapnik)¹². Specyficzna, wymuszona względami konspiracji, jest *quasi*-epistolarna formuła *Kroniki*. Ringelblum rozpoczyna niektóre – szczególnie początkowe – partie tekstu zwrotami do adresata: „Moi Kochani!”, „Kochany Ojcze!”, „Kochany Dziadku!”, „Mój Kochany Przyjacielu!”, „Drogi Przyjacielu!”. Powoduje to erozję obiektywistycznej, zdepersonalizowanej formuły dyskursu kronikarskiego.

Wydaje się, iż tekstem rządzi reguła kontrolowanego chaosu, wnosząc doń emocjonalne napięcie. Stan ciągłego zagrożenia nie pozwala bowiem na wyważony obiektywizm. Nie pozwala po prostu normalnie pisać, spokojnie redagować. Kronikarz nie jest w stanie zachować chłodnego dystansu. Zmaga się z brutalnie napierającą rzeczywistością i stara się ją okiełznać, poddać jakiejś kontroli. Opanować i utrwalić przez zapis. Widoczne na kartach *Kroniki* osobiste zaangażowanie Ringelbluma, jego pasja, stają się znamiennym rvmsem tego dzieła.

Czerniaków

Dziennik Adama Czerniakowa znalazł wnikliwego czytelnika w osobie Romana Zimanda. Jego esej stanowi klasyczną już pozycję literatury przedmiotu i jest w pełnym tego słowa znaczeniu pionierską „próbą lektury”. Zimand traktuje tekst dziennika nie tyle jako źródło historyczne, ile zapis, w którym na różne sposoby ujawnia się obecność autora. Idąc tym samym tropem stajemy w centrum rozważanego tu zagadnienia: napięcia między osobowym a bezosobowym sposobem opowiadania. Pierwsze zdanie, zapisane przez diarystę 6 IX 1939 – „W nocy od 12 do 5 rano nie spałem” (45) – nosi charakter osobistego zwierzenia i wprowadza nas w sferę prywatności. Tak mogą się rozpoczynać zapiski romantycznego młodzieńca albo też ciężko chorego starca – zwraca uwagę Zimand, zaznaczając przy tym, iż „w zestawieniu z dalszą treścią *Dziennika* prowokują te słowa zarówno do refleksji nad losem, jak i nad poetyką codziennego zapisu”¹³. Dodajmy, iż w kontekście całości to inicjalne zdanie, brzmiące niczym fragment *journal intime*, stanowi kontrapunkt dla suchych, bezosobowych notatek urzędnika o swoim urzędowaniu. Należy jednak pamiętać, iż urzędnikiem tym był prezes Judenratu w największym getcie okupowanej Europy.

Na czym polega fenomen zdepersonalizowanego, a zarazem najgłębiej osobistego dziennika Czerniakowa? Próbę odpowiedzi na to pytanie znajdujemy w książce Zimanda, tu ograniczmy się zatem do kilku szczegółowych dopowiedzeń.

Czerniaków prowadzi zapiski o charakterze dziennika *pro memoria*, traktując je jako materiał, który posłuży – już po zwycięskiej dla aliantów wojnie – w przygotowaniu ewentualnej obrony jego publicznej działalności.

¹² Objaśnienia te zawarte są w przypisach wydawcy *Kroniki getta warszawskiego* (160).

¹³ Zimand, *op. cit.*, s. 68.

Wysunięta przez Zimanda hipoteza prowadzenia dziennika jako swoistej samoobrony tłumaczy zarówno skrótowość czy wręcz nieczytelność niektórych zapisów, jak też przytłaczającą przewagę informacji i materiałów związanych z pełnieniem funkcji prezesa Gminy¹⁴, w tym – szczegółową dokumentację kontaktów z władzami niemieckimi. Pisząc więc o sobie, Czerniaków pisze siłą rzeczy o personie oficjalnej, a nie prywatnej.

A jednak opisywanie urzędniczych funkcji ma indywidualne znamiona, nosi piętno osobowości autora. Objawia się to w samej konstrukcji tekstu – poruszając od skrajnej niekiedy lakoniczności i powściągliwości w wyrażaniu ocen i emocji, a kończąc na aluzyjności, grze cytatów, subtelnej ironii. Oto np. autoironiczny komentarz do charytatywnej działalności Gminy:

Pisuję wiersze. Należy do tego mieć pobudzoną fantazję. Nigdy fantazja nie sięgała tak daleko, aby zupy, które rozdajemy ludności, nazywać obiadami. [207]

Inny przykład to gra cytatem (o regule cytatu określającej gramatykę tekstu dziennika pisał obszernie Zimand). Cytatu z *Popiołów* Żeromskiego Czerniaków najwyraźniej używa do kryptocharakterystyki własnej sytuacji¹⁵. Rozważania o postaci Winstona Churchilla wyjęte z książki Roma Landaua o Paderewskim (New York 1934, Warszawa 1935) służą mu do zakonspirowanej wypowiedzi na najbardziej aktualne tematy polityczne. W cztery dni po zajęciu Paryża przez Niemców, a w niespełna miesiąc po objęciu przez Churchilla funkcji premiera, Czerniaków przepisuje do dziennika obszerny cytat z książki wydanej przed wojną, nadając mu w ten sposób zaskakującą aktualność¹⁶.

Jako osoba prywatna prezes Gminy objawia się rzadko. Zapisywane w tym trybie czynności to często rytm snu i lektura.

Kładę się spać o 9 wieczorem, czytam. O 2 w nocy się budzę. I tak do 5–6 rano, kiedy wstaję. Buty. [63]

Co oznacza słowo „buty”, funkcjonujące jako równoważnik zdania? Być może, chodzi tu o podobne kłopoty z ubiorem, o jakich w sposób autoironiczny pisze Czerniaków w innym miejscu:

Zauważyłem z rana brak guzika u spodni. Nawet największy człowiek może przy takim braku stać się śmieszny. [80]

¹⁴ Czerniaków nie używa słowa „Judenrat”, będącego nazwą instytucji stworzonej przez okupanta, tylko „Gmina”, podkreślając tym samym ciągłość swego urzędu, na który został powołany 23 IX 1939 przez suwerenne władze Rzeczypospolitej – w osobie prezydenta Warszawy, Stefana Starzyńskiego. Parę dni po zajęciu Warszawy Niemcy wyznaczili Czerniakowa na szefa Judenratu. „Zostałem odwieziony do Alei Szucha i tam zakomunikowano mi, abym dobrał 24 ludzi do Rady Gminy i stanął na jej czele” – zapisuje 4 X 1939 (51–52).

¹⁵ „W *Popiołach* Żeromskiego czytam: »Alboż to i ja nie mam pod swoją komendą zbirów, siepaczków, morderców, a przecież ich szczerzę i cenię [...]. Najlepiej ci właśnie wywiódą z nieszczęścia w razie obskoczenia«” (239).

¹⁶ W zapisie z 18 VI 1940 czytamy m.in.: »»Kogo Pan uważa za najbardziej imponującego człowieka wśród polityków angielskich?« – »Ależ, Winstona Churchilla, naturalnie. [...] śmiem twierdzić, że w polityce międzynarodowej wiele by się polepszyło, gdyby on stał na czele Foreign Office«” (121). Właśnie 18 VI 1940 rząd angielski zaprosił prezydenta RP i rząd polski do Anglii, o czym diarysta sporządzając tę notatkę nie mógł wiedzieć. W dzień później gen. Sikorski spotkał się z Churchillem, który podkreślił „niezlomną postawę Polski w sojuszu antyhitlerowskim” i zapewnił, że „jego rząd prowadzić będzie wojnę aż do ostatecznego zwycięstwa”. Cyt. z: A. Albert, *Najnowsza historia Polski. 1914–1993*. T. 1. Londyn 1994, s. 450–451.

Jeśli jednak autor dziennika mówi o sobie wprost, zdecydowanie najczęściej uwagi poświęca swemu zdrowiu: niedomaganiom wątroby i serca, kłopotom z lumbago, zębami, odmrożonymi palcami u nóg, grypą tchawicy, zaziębieniem. Przede wszystkim zaś pisze o uporczywych bólach głowy. Na 29 wzmianek o chorowaniu aż 11 dotyczy migreny. Pierwsza z 22 I 1940: „Z bólem głowy do łóżka” (80), i ostatnia z 19 VII 1942, na cztery dni przed samobójczą śmiercią:

Dziś wziąłem 2 proszki od bólu głowy, 1 cybalginę i walerianę. Pomimo to głowa mi pęka. Staram się, aby uśmiech z twarzy mi się nie odlepił. [302]

Tropiąc prywatność w dzienniku Czerniakowa, zatrzymajmy się nad historią kapelusza. Tym mianem określam osobiste doświadczenia prezesa Gminy z nałożonym na Żydów obowiązkiem kłaniania się Niemcom na ulicy. Historia kapelusza rozgrywa się w trzech okresach: czerwiec 1940, maj 1941 i wrzesień 1941, a opowiedziana jest w pięciu odsłonach. Autor objawia się w niej jako ten, który nie chce się kłaniać i stosuje bierny opór. Wartownik przed pałacem Blanka – siedzibą Stadthauptmana Warszawy, Leista – przestrzega Czerniakowa: „zwrócił mi uwagę, abym zdjął kapelusz *frühzeitig* <zawczasu>” (124). Jest to zapis z 25 VI 1940 – odsłona pierwsza. Trzy następne odsłony potęgują napięcie. Zmienia się sceneria: najpierw jest nią siedziba gubernatora dystryktu warszawskiego GG (zapisy z 8 V 1941: „W podwórzu Brühla z auta krzyknęli mi »zdejm czapkę«. Nie zdjąłem”, 178), oraz z 12 V 1941: „Na podwórzu pałacu »Brühla« znów mi kazali zdjąć kapelusz”, 179), potem schody przed budynkiem Gminy (zapis z 15 V 1941: „Dziś w Gminie na schodach usiłowano mi zrzucić kapelusz z głowy”, 180). Zmieniają się też formy nacisku – od perswazji słownej do fizycznej agresji. Czerniaków nie podporządkowuje się nakazowi, chociaż tylko 8 V odnotowuje to wprost. Ostatnia, piąta odsłona, ma miejsce 2 IX 1941, znów przed pałacem Brühla: „Po wyjściu zawróciła nas z ulicy »wacha«, że się nie ukłoniliśmy” (212).

Prywatna wojna z obowiązkiem kłaniania się Niemcom miała swoich bohaterów i swoje ofiary. „Dziś, 29 września [1940], dostałem w zęby za to, że się nie ukłoniłem [Niemcowi]” – pisze Ringelblum (158). Kilkakrotnie wraca do sprawy, przytaczając przejawy oporu przeciwko obowiązkowym ukłonom. Jednak przypadek Czerniakowa jest szczególny. Wydaje się, że zrekonstruowana tutaj historia jest przykładem, jak w jego dzienniku to, co osobiste, splata się nierozzerwalnie z tym, co publiczne i oficjalne. Zachowanie prezesa Gminy nabiera przecież zawsze z racji pełnionej funkcji charakteru publicznego, nawet gdyby wypływało z najgłębiej osobistych pobudek. Czerniaków musiał to brać pod uwagę zarówno nie zdejmując kapelusza na ulicy, jak i odnotowując – wśród wielu urzędowych czynności – tę właśnie sprawę, i to parokrotnie.

Jest w dzienniku zapis, który burzy ten niemal heroiczny wizerunek autora. Zapis, którego nie wahałbym się nazwać żenującym. Roman Zimand za „najbardziej żenujący zapis w całym *Dzienniku*” uznał notatkę z 25 VII 1941 o tym, jak żydowski policjant odgania żebraków spod okien prezesa Gminy, rozdając im datki. Komentarz do tej sceny: „Tego nie zrobiłby żaden policjant innej narodowości” (203), uznaje badacz nie tylko za przejaw naiwności diarysty. Widzi w nim także cień szowinizmu, chociaż – jak zaznacza –

szowinizm był Czerniakowowi z gruntu obcy¹⁷. Nie podważając tych rozstrzygnięć interpretacyjnych, muszę stwierdzić, że ów fragment wydaje mi się całkiem niewinny w porównaniu z notatką figurującą pod datą 29 V 1942:

Chodzę z Brandtem po ulicach i udzielam nagan dozorcóm wzgl(ędnie) ich wynagradzam. Ghetto przy tak niskim rozwoju cywilizacyjnym nie może być czyste. Ludzie zachowują się, niestety, jak świnie. Wieki niedbalstwa mszczą się. A sprzyja temu bezgraniczna niedola i nędza. [284]¹⁸

Stwierdzenie po blisko 3 latach okupacji w 18 miesięcy po utworzeniu dzielnicy zamkniętej, iż brud w getcie to wynik „niskiego rozwoju cywilizacyjnego” – jest koszmarnym nieporozumieniem. Czerniaków doskonale znał rejestr represji, nękania, przemocy. Nikt nie był lepiej od niego zorientowany, że zorganizowanie systematycznego wywozu śmieci z getta napotykało niestanne przeszkody. Stąd piętrzące się na ulicach i podwórkach góry nieczystości.

Zimą i wiosną 1942 – jak wynika z jego zapisków – Czerniaków próbuje się z tą sprawą uporać.

Domy są strasznie zaśmiecone. Polecilem energicznie usuwać śmieci. Dodałem wydziałowi nieruchomości 2 chojraków: Usmana i Pożaryka do działu śmieci. [256]

Władze niemieckie nakazują prezesowi wzmożoną dbałość o stan sanitarny getta. Zaczynają się kontrole. „Przed obiadem zwiedziłem z Auerswaldem różne domy, badając stan zaśmiecenia” (259) – zapisuje 16 III. W miesiąc później z udziałem prezesa Gminy odbywa się w sprawie wywozu śmieci konferencja u doktora Wilhelma Hagen, w latach 1941–1943 naczelnego lekarza Warszawy z ramienia władz okupacyjnych. Notatka w dzienniku z tego spotkania świadczy o braku porozumienia między aryjskimi i żydowskimi przedsiębiorstwami wywozowymi oraz o ciągnących się w nieskończoność perturbacjach finansowych.

Wiedząc to wszystko, Czerniaków w sposób bezceremonialny, z nie skrywanym poirytowaniem urzędnika spotykającego się z karygodną niesubordynacją, pisze o mieszkańcach getta, że zachowują się jak świnie. Wspomnienie „bezgranicznej niedoli i nędzy” nieznacznie tylko łagodzi ostrość i niesprawiedliwość tego osądu. Miary dopełnia fakt, który w interpretacji zapisu z 29 V odgrywa kluczową rolę. Otóż Czerniaków dokonuje inspekcji wspólnie z Karlem Brandtem, SS-Untersturmführerem, kierownikiem referatu żydowskiego w warszawskim gestapo. Rozumiem, że urzędujący prezes jest zmuszony iść ramię w ramię z Brandtem po ulicach getta, prowadząc kontrolę czystości. Podobnie jak 15 III 1940 zmuszony był asystować zastępcy Brandta,

¹⁷ Zimand, *op. cit.*, s. 46.

¹⁸ Zimand przywołuje w swojej książce ów zapis (na s. 49), ale umieszcza go w kontekście troski prezesa o „ogólny poziom cywilizacyjny”, pozostawiając całość bez komentarza. W cytacie dokonuje pewnego skrótu: „Chodzę [...] po ulicach i udzielam nagan dozorcóm”. Niepojęta jest dla mnie motywacja tego kroku. Opuszczony fragment to kwestia tylko 2 wyrazów! Wzgląd na oszczędność miejsca nie może tu więc być brany w rachubę, tym bardziej że opuszczone wyrazy – „z Brandtem” – mają dla całości zasadnicze znaczenie. Wydaje się, jakby Zimandowi szczególnie zależało na tym, by Czerniaków sam chodził po zaśmieconych ulicach getta i karcił opieszalych dozorców. Ale Czerniaków nie był wówczas sam i dlatego ten właśnie zapis pozwalał sobie nazwać najbardziej żenującym w całym dzienniku.

SS-Oberscharführerowi Mendemu przy sprawdzaniu punktualnego stawiania się Żydów do pracy przymusowej. Karząc „spóźnialskich” Mende połamał wówczas swój pejcz, naprawiony później na koszt Gminy¹⁹. Diarysta potrafił zawrzeć w lapidarnej notatce z tego zdarzenia gorzki sarkazm, dramat nie chcianego współuczestnictwa, dystans między sobą jako podmiotem piszącym i przedmiotem opisu. Tego wszystkiego zabrakło w zapisie o odbywanej razem z Brandtem inspekcji. Urzędnik koncesjonowanego przez nazistów Judenratu bierze w nim górę nad inżynierem Adamem Czerniakowem – prezesem Gminy Żydowskiej w Warszawie.

Poświęćmy teraz nieco uwagi pogodzie. Na tle systematycznie prowadzonych po obu stronach muru diariuszy czy kronik uderza u Czerniakowa regularność zapisywania stanów pogody, a przede wszystkim temperatury. Pierwsza tego typu notatka pojawia się 30 XII 1939: „Mróz straszny 15°” (74), następna 10 I 1940: „Od kilku dni szalone mrozy (z rana –24° –25°), a węgla nie ma” (76). Pod koniec stycznia diarysta znów odnotowuje temperaturę, w lutym czyni to 2 razy, w marcu już 7 razy, by w kwietniu robić to niemal codziennie. Od tej pory prawie każdy zapis dzienny rozpoczyna się – niczym komunikat meteorologiczny – od podania aktualnej temperatury. Czerniaków rzadko poza tę suchą informację wychodzi, pisząc np. „Dzień niezwykle upalny” (119), „W nocy deszcz” (124), „Pochmurno, żar, duszno” (129). Lakoniczne komunikaty o temperaturze znikają 8 XI 1940, by pojawić się dopiero 2 I 1942 („Dziś pierwszy dzień wielkiego mrozu, 15–20°”, 239) i od końca tego miesiąca wracają na swoje dawne miejsce. W kwietniu i maju częstotliwość meteorologicznych zapisów wyraźnie maleje, aż znikają zupełnie po 28 V 1942, kiedy to diarysta odnotował +18°C.

Jaka logika rządzi tymi zapisami, czemu służą, dlaczego pojawiają się falami? Niewątpliwie na początku sama aura skłoniła Czerniakowa do prowadzenia notatek meteorologicznych. Pierwsza zima okupacyjna była bowiem wyjątkowo ostra i mroźna, co w połączeniu ze zniszczeniami wojennymi i chronicznym brakiem opału bardzo utrudniało życie. O pogodzie pisali w tym okresie chyba wszyscy. W *Kronice* Ludwika Landaua pod datą 8 I 1940 czytamy: „właśnie w tym roku mamy wyjątkowo ciężką zimę, mrozy dochodzą prawie do 20° poniżej zera” (180). Do połowy marca tego roku kronikarz 14 razy sporządza mniejsze lub większe notatki o pogodzie, w następnych latach natomiast czyni tak tylko sporadycznie. O „straszliwych mrozach” wspomina w tym czasie kilkakrotnie Aron Kapłan, często robi to też Zofia Nałkowska w swoich *Dziennikach czasu wojny*. Wyjątkiem jest Emanuel Ringelblum, który pierwszą zimę okupacyjną zlekceważył pod względem meteorologicznym. Pierwsza konkretna wzmianka o pogodzie („mrozy dały o sobie znać”, 334) pojawia się w *Kronice getta warszawskiego* dopiero 14 XI 1941.

W ówczesnych zapisach Czerniakowa pozornie nie ma więc niczego oryginalnego. Tylko pozornie. Nikt chyba nie prowadził tego typu zapisków tak systematycznie i długo jak prezes Gminy. Poza tym we wszystkich meteorologicznych notatkach, jakie udało mi się odnaleźć w dokumentach osobistych

¹⁹ „Rano 5-ta na Twardą (lustracja wychodzących robotników). Zjawił się M<ende> w asyście. Robotnicy zaczęli się zbierać 6.30. Spóźnionych karano na miejscu doraźnie. Pejcz do naprawy” (95).

z okupowanej Warszawy, informacja o pogodzie nigdy nie pojawia się sama dla siebie, zawsze jest jakoś sfunkcjonalizowana. U Landaua wiąże się z analizą kryzysu opałowego, braków węgla i torfu, skoków cenowych na rynku, albo z praktycznymi konsekwencjami silnych mrozów i opadów śniegu (pękanie rur wodociągowych, trudności w poruszaniu się po mieście). Zimą 1942 wzmianki o pogodzie stają się dla kronikarza odskocznią do uwag o sytuacji militarnej na froncie wschodnim. U Kapłana do narzekania na zaopatrzenie w opał dołącza się nowy motyw. Siarczasty mróz staje się widomym znakiem przekleństwa, jakie spadło na Żydów, jest kolejnym przejawem tortur, następnym ogniwem w łańcuchu nieszczęść. Nałkowska zaś obserwacje o mrozie wykorzystuje m.in. do zbudowania metafory okupacyjnego zniewolenia²⁰. U Czerniakowa natomiast – oprócz dwóch pierwszych zapisów z 10 i 29 I 1940: „węgla nie ma. W Gminie się siedzi w zimnych, nie opalonych pokojach” (76) i „A węgla jak nie ma, tak nie ma” (82) – sporządzanie meteorologicznych notatek zdaje się być rutynową, czysto formalną czynnością, pozbawioną głębszych motywacji. Diarysta niejako z przyzwyczajenia podaje panującą każdego dnia temperaturę powietrza, bez dalszych komentarzy ani wyjaśnień. Na podstawie tych danych można wykreślić izotermy wielu okupacyjnych miesięcy. Wciąż jednak pozostaje pytanie: w jakim celu diarysta szkicuje mapę temperatur?

Trudno będzie znaleźć jednoznaczne wyjaśnienie tej kwestii. Jak wiele spraw w dzienniku Czerniakowa, również i ta pozostanie zapewne tajemnicą. Sądzę, że kluczem do niej może być osobowość prezesa Gminy, a także strategia, jaką obrał w swoim pisaniu. Podawanie poziomu temperatury w stopniach Celsjusza, ograniczenie się do suchej liczby, jest skrajnym przejawem dążenia do obiektywizmu. Wszelkie wartościujące czy nasycone emocjami określenia pogody są niemal zupełnie wyeliminowane. Tak jakby Czerniaków bardziej ufał wskazaniom słupka rtęci niż własnej ocenie. Tak jakby chciał przenieść na karty dziennika i tam utrwalić próbkę nagiej rzeczywistości w jej czysto fizykalnym wymiarze. Podobnie gromadzi się np. odłamki skał, aby odtworzyć na ich podstawie geologiczną strukturę skorupy ziemskiej. Czy mapa temperatur, skrajnie zobiektywizowany wizerunek drobnego okrucha rzeczywistości okupacyjnej, jest próbą zakomunikowania jakiejś części doświadczenia getta, której Czerniaków w inny sposób przekazać nie był w stanie?

Sprawozdania – raporty – opracowania

Na koniec zbadajmy napięcie między dyskursem spersonalizowanym a zdepersonalizowanym w tekstach, które sytuują się na granicy bądź już poza granicami literatury dokumentu osobistego. Myślę tu o raportach, sprawozdaniach, opracowaniach zagadnień społecznych, gospodarczych, demogra-

²⁰ Zob. Z. Nałkowska, *Dzienniki czasu wojny*. Opracowanie, wstęp i przypisy H. Kirchner. Wyd. 2 Warszawa 1972, s. 111 (zapis z 20 I 1940): „Mróz nieustający, nie pamiętany od lat, zaciska się na wszystkim jak obręcz. Zimno w domu, zimno w sklepie, wszystkie wędrówki po mieście odbywają się w tym dziwnym *medium*, w świecie arktycznym czy w świecie epoki lodowej”.

ficznych, wywiadach środowiskowych, szkicach prac naukowych. Niejednokrotnie teksty z tego zakresu przedstawiają niejako podwójne uporządkowanie: mają stanowić obiektywizowany materiał faktograficzny, ale stają się równocześnie osobistym świadectwem autora czy autorów. Z jednej strony usiłują oni wykonać określone zadania naukowo-dokumentacyjne, zgodnie z poetyką gatunku realizując je w sposób zdyscyplinowany i metodyczny. Trzymają się np. sformułowanych wcześniej wytycznych problemowych i kwestionariuszy, które zapewnić mają wartość poznawczą zbieranego i przetwarzanego materiału, jego wszechstronność i porównywalność z innymi danymi. Z drugiej strony natomiast autorzy ci – pozostając pod przemożnym ciśnieniem analizowanej czy opisywanej rzeczywistości i nie mogąc (bądź nie chcąc!) oddzielić własnych emocji i ocen od przekazywanych treści – bezwiednie bądź świadomie dają im wyraz. W tekście, który raczej nie powinien zdradzać subiektywnego „ja” podmiotu mówiącego, to osobowe „ja” autora staje się jednak widoczne.

Przytłaczająca większość dokumentów tego typu powstała w kręgu grupy „Oneg Szabat” i jest efektem planowej działalności. Emanuel Ringelblum, omawiając w *Kronice* tryb pracy grupy i zakres jej zainteresowań, przedstawia też założenia i dyrektywy metodologiczne. Podkreśla dążenie do „obiektywizmu”, chęć „uzyskania jak najdokładniejszego i jak najwszechstronniejszego obrazu wydarzeń”, starania, „by to samo wydarzenie zostało opisane przez jak największą liczbę osób [...], [by] wyluskać prawdę historyczną, rzeczywisty przebieg wydarzenia” (479). Informacje do dalszego opracowywania zbierano drogą ankiet, wywiadów, rozmów, często ukrywając przed rozmówcami, ze względów konspiracyjnych, prawdziwy cel tych działań. Znamienne, iż Ringelblum, tak dbając o obiektywizm, przyzwala czy wręcz zachęca do ujawniania osobistych odczuć.

Staraliśmy się zawsze, aby relacja o każdym wydarzeniu miała znamiona bezpośredniości, prawdziwego przeżycia. I dlatego materiały „Oneg Szabat” [...] są tak bardzo przepełnione subiektywizmem. [483]

Różnorodność dokumentów składających się na konspiracyjne Archiwum Getta jest ogromna. Zamawiano u rozmaitych osób profesjonalne opracowania, inspirowano do działań dokumentacyjnych, wyznaczano współpracownikom pewne obszary badawcze, gromadzono informacje i materiały źródłowe, poddając je wstępnej obróbce. Efektem tych działań były pozyskiwane teksty opracowań i relacje sporządzane na podstawie rozmów z uchodźcami przybywającymi do getta. Tak powstawały monografie miast i miasteczek żydowskich, pisane według przygotowanego konspektu, opisy tułaczki uchodźców, opracowania dotyczące wojny polsko-niemieckiej r. 1939, materiały o obozach i więzieniach. Spisywano relacje powracających z obozów pracy, a potem uciekinierów z obozów zagłady. Ankietowano dzieci, urządzano konkursy wypracowań. Opisywano działalność komitetów domowych, kuchni ludowych, służby zdrowia. Autorami takich opracowań bywali również pisarze, którzy łączyli bezosobową poetykę sprawozdania z konwencją fabularyzowanego reportażu, nasycając tekst osobistymi przeżyciami i nadając mu znamiona indywidualnego stylu.

Składano sprawozdania z działalności różnych instytucji i ośrodków pomocy społecznej. Jedno z takich sprawozdań, pisane w 1941 r. przez Esterę Karasiównę, świetliczankę w schronisku dla przesiedleńców przy ul. Śliskiej 28 – ukazuje zderzenie dwóch perspektyw: urzędowej i indywidualnej. Biurokratyczna formuła suchego sprawozdania z czynności wykonywanych w ramach zadań służbowych zostaje rozbita przez dynamikę osobistego wyznania. Karasiówna stara się respektować poetykę urzędowego tekstu użytkowego, stąd próby rzeczowego opisu wyglądu świetlicy, jej umeblowania, porządku dziennego, charakterystyka dzieci będących pod jej opieką, zamieszczone na końcu wnioski i dezyderaty pod hasłem „co i jak usprawnić”. Jednak niemal każde zdanie nasycone jest emocją, za każdym zdaniem stoją przeżycia autorki. Ów dokument nie jest bowiem beznamiętną inwentaryzacją, lecz opisem osobistego doświadczenia. Kształt temu doświadczeniu nadają trywialne szczegóły codzienności getta, świat konkretnego, świat rzeczy: kubek kaszy, spluwaczki zamiast talerzy, rozbite szyby, piecyk i rury, chleb z marmoladą, ręce pokryte świerzbem i sprawiające ból przy myciu. Panująca groza wywołuje z początku uczucie podobne do dziecięcego zdziwienia w obliczu tego, co niepojęte. Dopiero potem przychodzi przerażenie, które autorka stara się zagłuszyć gorączkową pracą. Sprawozdanie Estery Karasiówny, pisane konsekwentnie w pierwszej osobie, przeradza się w publiczną spowiedź²¹ człowieka rozpaczliwie bezradnego, ale nie ustającego w walce „o wydzwignięcie z bagna stu prawie dzieci, ludzi jasnego jutra” (105).

Zbiorowym wysiłkiem grupy „Oneg Szabat” powstawały ważne raporty, przekazywane później w świat drogą konspiracyjną. Do dokumentów wielkiej rangi należy raport zjednoczonych organizacji podziemnych getta dla Rządu Polskiego w Londynie i Rządów Sprzymierzonych, z 15 XI 1942, zatytułowany *Likwidacja żydowskiej Warszawy*. Wywieziony na Zachód przez Jana Karaskiego, odegrał rolę międzynarodową, stał się dla rządu polskiego w Londynie podstawowym źródłem wiedzy o eksterminacji Żydów na ziemiach polskich. Raport został opracowany przez ściśle kierownictwo „Oneg Szabat”: Emanuela Ringelbluma, Eliasza Gutkowskiego, Hersza Wassera. Sporządzony fachowo, pełen wykresów, tabel, zestawień statystycznych i załączników, stanowi pierwszą próbę monograficznego ujęcia wciąż przecież wtedy trwającego procesu zagłady – jego przebiegu, mechanizmów, skutków.

Przy wszystkich bezcennych walorach merytorycznych raport w umiejętny sposób łączy sprawozdawczą narrację o faktach z niemal epicko zakrojoną opowieścią o tragedii narodu. Kolumny cyfr, dokumentacja źródłowa, zestawienia nazwisk, instytucji, miast i miasteczek – wszystko to wplecione zostało w dyskurs sięgający często po obraz poetycki i metaforę, nie stroniący od stylistyki emocji i patosu. Statystyka ofiar wysiedlenia, z podziałem na płeć i grupy wiekowe, z pedantycznym rozróżnieniem na śmierć naturalną, samobójstwa, postrzelenia – sąsiaduje z ekspresyjnymi, nasyconymi bólem i gniewem opisami ofiar prowadzonych na Umschlagplatz czy makabrycznymi scenami z Treblinki.

²¹ Charakterystyczne, że sam Ringelblum używa formuły „spowiedź” na określenie podobnego tekstu. Zaznacza mianowicie, że dostarczone do Archiwum Getta sprawozdanie z pracy oddziału sanitarnego, „pióra członka kolumny dezynfekcyjnej, ma charakter spowiedzi” (488).

Pierwsze zdania raportu są swoistą ekspozycją dramatu, wstępem do eposu o polskich Żydach:

W blaskach niezrównanej, złotej jesieni polskiej lśni i migoce warstwa śniegu. Śnieg ten to nie innego, jak tylko pierze i puch z pościeli żydowskiej, zostawionej wraz z całym dobytkiem, od szaf, kufrów, walizek pełnych bielizny i odzieży, aż do misek, garnków, talerzy i innych części gospodarstwa domowego, przez 500 000 Żydów ewakuowanych na „Wschód”. Bezpańskie rzeczy [...] leżą w nieładzie [...] pokryte owym śniegiem z okresu uwielokrotnionego mordy niemieckiego na Żydach Warszawy – wyprutymi wnętrznościami pościeli żydowskiej. [...] Chyłkiem sunący wzdłuż ścian strzęp ludzki, obryzgane krwią kamienie bruku, dym unoszący się z tlejących i dogorywających ognisk ulicznych, ostra woń spalenizny – nadają właściwy koloryt temu miastu śmierci, gdzie przed strasznym 22 lipca, w kręgu 10 km murów okalających getto, wegetowało prawie 370 000 Żydów²².

Konstrukcja tego fragmentu, oparta na kontrapunkcie planu ogólnego i zbliżenia szczegółu, z wplecioną weń figurą *enumeratio*, z odpowiednio dozowanym efektem zaskoczenia – wskazuje na pewne reguły sterujące dyskursem raportu. Jedną z nich to niewątpliwie zasada zderzania metafory z konkretem, plastycznego obrazu z liczbą. Inna to łączenie dwóch perspektyw widzenia: zbiorowej i jednostkowej, zobiektywizowanej i zsubiektywizowanej, osobistej.

Surowa poetyka tekstów użytkowych o charakterze sprawozdawczo-informacyjnym, poddanych rygorom obiektywizmu i fachowości, nie wytrzymuje naporu rzeczowości, z której ma zdawać sprawę. Protokolarny, z założenia zdepersonalizowany tok wypowiedzi zderza się z ekspresją emocji, sądów, ocen, z potrzebą zaznaczenia indywidualnej perspektywy, do odsłonięcia własnej podmiotowości. Mówiąc słowami Ringelbluma: jest „nasycony subiektywizmem”. W sferę intymną wdiera się historia, prywatność zostaje upubliczniona, a osobiste doświadczenie uzyskuje w takich warunkach walor uniwersalny. Dlatego też mieszają się ze sobą osobowy i bezosobowy tok dyskursu. Praca dokumentacyjna czy nawet najprostsza rejestracja faktów stawała się bowiem w warunkach getta heroicznym czynem osobistym.

Cytowane źródła

W nazwie: Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie, zespół Pamiętniki, oraz w tytule: „Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego”, zastosowano skrót ŻIH.

Adama Czerniakowa *dziennik getta warszawskiego. 6 IX 1939 – 23 VII 1942*. Opracowanie i przypisy M. Fuks. Warszawa 1983.

Archiwum Ringelbluma. *Getto warszawskie. Lipiec 1942 – styczeń 1943*. Opracowała R. Sakowska. Warszawa 1980.

Hirszfeld L., *Historia jednego życia*. Wyd. 4. Warszawa 1989.

[Horowitz B.], *Przesiedlenie w zaświaty*. Archiwum ŻIH, sygn. 121.

Jakub, pamiętnik z getta; tekst bez tytułu. Jw., sygn. 110.

²² Cyt. z *Archiwum Ringelbluma* (275).

- Karasiówna E., sprawozdanie świetliczanki w schronisku dla przesiedleńców przy ul. Śliskiej, za rok 1941; tekst bez tytułu. „Biuletyn ŻIH” nr 94 (1975). Cyt. z: R. Sakowska, *Dwa etapy. Hitlerowska polityka eksterminacji Żydów w oczach ofiar. Szkic historyczny i dokumenty*. Wrocław 1986.
- Kula W., *Dziennik czasu okupacji*. Do druku podali N. Assorodobraj-Kula i M. Kula. Słowem wstępnym i przypisami opatrzył M. Kula. Warszawa 1994.
- Landau L., *Kronika lat wojny i okupacji*. Tekst do druku przygotowali Z. Landau i J. Tomaszewski. Przedmową opatrzył W. Kula. T. 1–3. Warszawa 1962–1963. (Cytaty pochodzą z tomu 1).
- Lewin A., *A Cup of Tears. A Diary of the Warsaw Ghetto*. London 1990. Cyt. z wersji polskiej: *Dziennik z getta warszawskiego*. Przełożył z języka jidysz A. Rutkowski. „Biuletyn ŻIH” nry 19/20 (1956), 21–24 (1957), 25 (1958).
- Perechodnik C., *Czy ja jestem mordercą?* Opracowanie, posłowie, przypisy P. Szapiro. Warszawa 1993.
- Puterman S., pamiętnik z getta; tekst bez tytułu. Archiwum ŻIH, sygn. 27. Cyt. z antologii: *Pamiętniki z getta warszawskiego. Fragmenty i rejestry*. Opracował M. Grynberg. Warszawa 1988.
- Ringelblum E., *Kronika getta warszawskiego. Wrzesień 1939 – styczeń 1943*. Wstęp i redakcja A. Eisenbach. Przełożył z jidysz A. Rutkowski. Opracowali i zaopatrzyli w przypisy T. Berenstein [i inni]. Warszawa 1983.
- Sznajman S., *Dziennik z getta*. Archiwum ŻIH, sygn. 198. Cyt. z antologii: *Pamiętniki z getta warszawskiego. Fragmenty i rejestry*.